

ALFRED HITCHCOCK

# TAJEMNICA SREBRNEGO PAJĄKA

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: ANNA IWAŃSKA)

## **Krótki wstęp Alfreda Hitchcocka**

“Badamy wszystko” - oto dewiza Trzech Detektywów, czyli Jupitera Jonesa, Pete'a Crenshawa i Boba Andrewsa. Mieszkają oni w Rocky Beach w Kalifornii, nie opodal sławnego Hollywoodu. Nigdy nie sprzeniewierzają się tej dewizie, jak dobrze wiedzą Ci spośród Was, którzy poznali ich już w poprzednich książkach.

Tym razem chłopcy opuszczają swą zaciszną Kwaterę Główną, mieszczącą się na terenie superrupieciarni, znanej jako skład złomu Jonesa, i podróżują aż do Europy, by zmagać się ze złowieszczym spiskiem, w który wplątany jest piękny srebrny pajak...

Nie powiem już ani słowa więcej. Jedynie dla tych, którzy stykają się z detektywami po raz pierwszy, dodam, że ich przywódca Jupiter Jones, jest znany z nadzwyczajnej bystrości umysłu. Pete Crenshaw, wysoki i muskularny, celuje w umiejętnościach sportowych. Bob Andrews dokonuje analiz i prowadzi dokumentację zespołu, i choć najmniejszy, wykazuje lwią odwagę w niebezpiecznych sytuacjach.

A teraz - światła, kamera, akcja! Przygoda się zaczyna!

Alfred Hitchcock

## Rozdział 1

### O włos od kraksy

- Uwaga! - krzyknął Bob Andrews.

- Ostrożnie, Worthington! - zawtórował mu Pete Crenshaw.

Worthington, kierowca wielkiego, zdobionego złoceniami rolls-royce'a, nacisnął gwałtownie hamulec i Trzej Detektywi na tylnym siedzeniu powpadali na siebie. Rolls-royce z piskiem zatrzymał się o centymetr zaledwie od lśniącej limuzyny. Wskoczyło z niej natychmiast kilku mężczyzn. Worthington wysiadł spokojnie i mężczyźni otoczyli go, trajkocąc z podnieceniem w jakimś obcym języku. Worthington zignorował ich. Podszedł do drugiego samochodu i zwrócił się surowo do szofera, prezentującego się wspaniale w czerwonej liberii ze złotymi sznurami.

- Mój panie, zignorował pan znak "stop". O mało nie rozbiliśmy się obaj. To była ewidentnie pańska wina, ponieważ ja miałem pierwszeństwo przejazdu.

- Księżę Djaró ma zawsze pierwszeństwo - odparł szofer wyniośle. - Inni powinni schodzić mu z drogi.

Pete, Bob i Jupiter zdążyli się już pozbierać i zaintrygowani obserwowali zajście. Mężczyźni, którzy wyskoczyli z limuzyny, w swym podekscytowaniu zdawali się tańczyć wokół smukłego Worthingtona. Najwyższy z nich, wyraźnie kierujący pozostałymi, odezwał się po angielsku:

- Kretynie! - wrzasnął do Worthingtona. - O mało nie zabiłeś księcia Djaró! Mogłeś spowodować zatarg międzynarodowy! Winienesz zostać ukarany.

- Przestrzegałem przepisów drogowych, a wy nie - odparł Worthington śmiało. - Wina jest po stronie waszego kierowcy.

- O co chodzi z tym księciem? - Pete spytał szeptem Boba.

- Nie czytasz gazet? Pochodzi z Europy, z kraju zwanego Warania, jednego z siedmiu najmniejszych państw świata. Odbywa podróże krajoznawcze i teraz odwiedza Stany Zjednoczone.

- O rany! A myśmy o mało nie zrobili z niego placka!

- Worthington miał pierwszeństwo - odezwał się Jupiter Jones. - Chodźcie, trzeba go wesprzeć moralnie.

Wygramolili się z samochodu. W tym samym momencie otworzyły się drzwi limuzyny i wysiadł z niej chłopiec, niewiele wyższy od Boba, o kruczoczarnych, z europejska przystrzyżonych włosach. Mógł być zaledwie o dwa lata starszy od trzech chłopców, mimo to natychmiast opanował sytuację.

- Cisza! - zawołał i jazgocący mężczyźni wokół Worthingtona umilkli, jak nożem uciął. Chłopiec machnął ręką i usunęli się z respektem. Wtedy podszedł do Worthingtona i zwrócił się do niego w doskonałej angielszczyźnie. - Chciałbym przeprosić. Wina była po stronie mego kierowcy. Dopilnuję, by na przyszłość przestrzegał przepisów drogowych.

- Ależ Wasza Wysokość... - zaprotestował najwyższy ze świty.

Księżę Djaro uciszył go gestem. Spojrzał z zainteresowaniem na Boba, Pete'a i Jupitera, którzy właśnie podeszli.

- Przepraszam za to zajście - powiedział do nich. - Uniknęliśmy poważnego wypadku dzięki biegłości waszego szofera. To wy jesteście właścicielami tego wspaniałego samochodu?

- Niezupełnie właścicielami - odpowiedział Jupiter. - Korzystamy z niego od czasu do czasu.

Nie był to odpowiedni moment, by zagłębiać się w historię rolls-royce'a i wyjaśniać, jak doszło do tego, że mogli go używać.

Chłopcy wracali właśnie z Hollywoodu. Byli tam z wizytą u Alfreda Hitchcocka któremu złożyli relację ze swej ostatniej przygody.

- Jestem Djaro Montestan z Waranii - przedstawił się chłopiec. - Właściwie nie jestem jeszcze księciem. Oficjalna koronacja odbędzie się w przyszłym miesiącu. Moi ludzie jednak tytułują mnie księciem i nie ma na to rady. Czy jesteście typowymi amerykańskimi chłopcami?

To było dziwne pytanie. Uważali, że są typowo amerykańscy, ale nie bardzo wiedzieli, co ma na myśli pytający.

W końcu Jupiter odpowiedział za nich trzech:

- Bob i Pete to dość typowi chłopcy amerykańscy. Nie sądzę jednak, by mnie można było nazwać zupełnie typowym. Niektórzy uważają, że jestem zarozumiały i wysławiam się zbyt wyszukanie, co naraża mnie niejednokrotnie na niechęć. Nie wydaje mi się jednak, bym mógł się zmienić.

Bob i Pete wymienili uśmiechy. To była prawda, ale po raz pierwszy słyszeli, żeby Jupiter się do tego przyznawał. Z racji jego tuszy i nadzwyczajnej bystrości dawano mu przydomek "tłusta mądrała". Ale robili to tylko inni chłopcy, z zazdrości, lub ci z dorosłych, których zdemaskował dzięki swej dociekliwej inteligencji. Przyjaciele byli mu głęboko oddani. Wiedzieli, że Jupiter Jones jest jedynym, który potrafiłby im pomóc, gdyby popadli w kłopoty.

Teraz Jupe wyjął z kieszeni ich wizytówkę. Była to oficjalna karta zespołu Trzech Detektywów i Jupe miał ją zawsze przy sobie.

- Tu są nasze nazwiska - powiedział. - Ja jestem Jupiter Jones, a to Pete Crenshaw i Bob Andrews.

Młody cudzoziemiec wziął wizytówkę i przeczytał z powagą. Wyglądała następująco:

<p style="text-align:center"><b>TRZEJ DETEKTYWI</b></p> <p style="text-align:center"><b>Badamy wszystko</b></p> <p style="text-align:center"><b>???</b></p> <p style="text-align:center"><b>Pierwszy Detektyw . . . . . Jupiter Jones</b></p>
---

**Drugi Detektyw . . . . . Pete Crenshaw**

**Dokumentacja i analizy . . . . . Bob Andrews**

Czekali, spodziewając się, że zagadnie o znaczenie znaków zapytania. Prawie każdy o to pytał.

- Brojas! - powiedział Djaro i uśmiechnął się. Miał bardzo miły uśmiech, a jego zęby zdawały się szczególnie białe przy ciemnej karnacji. - Czyli “wspaniale” po warańsku. Jak przypuszczam, znaki zapytania to wasz symbol?

Popatrzyli na niego z respektem. Odgadł właściwie!

Djaro wyjął własną wizytówkę i podał Jupiterowi.

- Oto moja karta.

Bob i Pete oglądali wizytówkę zza pleców Juve'a. Była bardzo biała i sztywna, wygrawerowano na niej pięknie: “Djaro Montestan”; nad tym widniał złoto-błękitny herb. Przedstawiał on coś, co przypominało trzymającego miecz pająka, zawieszzonego na złotej pajęczynie, ale nie można było mieć pewności, gdyż rysunek był bardzo skomplikowany.

- To mój znak - powiedział chłopiec z powagą. - Pająk. To jest herb panującej w Waranii rodziny. Zbyt długo trzeba by wyjaśniać, jak doszło do tego, że pająk znalazł się w naszym rodowym herbie. Ogromnie się cieszę, że was poznałem, chłopcy - z tymi słowami uściśnął dłoń każdego z nich.

Ktoś zbliżył się do nich. Był to szczupły młody mężczyzna, o miłej twarzy, na której malowało się teraz zaniepokojenie. Musiał przybyć czarnym samochodem, który zatrzymał się za limuzyną. Gdy tylko się odezwał, stało się oczywiste, że jest Amerykaninem.

- Przepraszam, Wasza Wysokość, ale nasz program zaczyna się opóźniać. Szczęście doprawdy, że nie doszło do wypadku. Jeśli zamierzamy jednak zwiedzić dziś miasto, winniśmy już ruszać.

- Nie jestem specjalnie zainteresowany zwiedzaniem miasta - powiedział Djaro. - Widziałem już tyle miast. Wolałbym porozmawiać jeszcze chwilę z tymi chłopcami. To pierwsi amerykańscy chłopcy, z którymi mogę się zetknąć. Powiedzcie mi - zwrócił się do Trzech Detektywów - czy Disneyland jest zabawny? Bardzo chciałem to zobaczyć.

Zapewnili go, że Disneyland jest wspaniały i wart zwiedzenia. Djaro zdawał się ucieszony i markotny zarazem.

- Doprawdy, to żadna przyjemność być wciąż otoczonym przez straż przyboczną - powiedział. - Najwidoczniej księżę Stefan, który jest moim opiekunem i regentem Waranii do czasu mej koronacji, nakazał nie dopuszczać do mnie nikogo. Żebym nie złapał kataru czy czegoś w tym rodzaju. Śmiechu warte. Nie jestem ważną głową państwa, na którą ktoś chciałby dokonać zamachu. Warania nie ma wrogów, a ja jestem doprawdy mało ważny.

Zamilkł na chwilę i zdawało się, że podejmuje jakąś decyzję. Wreszcie zapytał:

- Czy poszlibyście ze mną do Disneylandu? Bylibyście moimi przewodnikami. Byłbym doprawdy wdzięczny. Tak bym chciał dla odmiany spędzić czas z przyjaciółmi.

Ta propozycja zaskoczyła ich. Z drugiej strony nie mieli na dziś żadnych planów i chętnie poszliby do Disneylandu. Jupiter zadzwonił więc do składu złomu z telefonu zainstalowanego w samochodzie, by porozmawiać ze swoją ciotką. Djaro obserwował go z zainteresowaniem. Następnie straż przyboczna księcia wtoczyła się do amerykańskiego samochodu towarzyszącego gościom. Bob, Jupiter i Pete wsiedli do limuzyny wraz z Djaro i wysokim mężczyzną o ostrych rysach twarzy, który narobił przedtem tyle szumu wokół niedoszłego wypadku.

- Księżciu Stefanowi nie będzie się to podobało - powiedział teraz nachmurzony. - Polecił mi nie dopuścić do żadnego ryzyka.

- Nie ma żadnego ryzyka, księżę Rojas! - odpowiedział ostro Djaro. - Najwyższy czas, żeby księżciu Stefanowi zaczęło się podobać to, co mnie się podoba. Za dwa miesiące będę

sprawował w kraju rządy i słowo moje, a nie księcia Stefana, stanie się prawem. A teraz powiedz Markosowi, żeby przestrzegał znaków drogowych. Po raz trzeci byliśmy o włos od wypadku, bo on się uparł zachowywać tak, jak byśmy byli w Waranii. Żeby mi się to więcej nie powtórzyło!

Książę Rojas rzucił kilka słów w obcym języku i kierowca skinął głową. Ruszyli w drogę. Chłopcy zauważyli, że szofer prowadzi samochód ostrożnie i zgodnie ze wszystkimi znakami drogowymi.

Przez czterdzieści pięć minut, jakie zajęła jazda do Disneylandu, książę Djaro zasypywał ich pytaniami o Amerykę, a w szczególności Kalifornię. Wszyscy trzej byli mocno zajęci udzielaniem mu odpowiedzi. Później, po przybyciu na miejsce, niewiele już rozmawiali. Byli zbyt zaabsorbowani licznymi atrakcjami.

W pewnym momencie Djaro, zauważywszy, że książę Rojas został w tyle, zaproponował z błyszczącymi oczami, by mu się wymknąć i po raz drugi objechać park małym pociągiem. Bob, Pete i Jupiter przystali na to. Dali szybko nura w tłum, po czym wbiegli na schody prowadzące do miniaturowej stacji kolejowej i wsiedli do właśnie przybyłego pociągu. Kiedy jechali górą wzdłuż obrzeży parku, dostrzegli na dole księcia i jego ludzi, poszukujących ich bezskutecznie.

Gdy wreszcie wysiedli, książę Rojas i jego ludzie rzucili się do nich. Lecz nim książę zdążył otworzyć usta, Djaro powiedział:

- Nie byłeś blisko mnie. Zostałeś w tyle. To zostanie zakomunikowane księciu Stefanowi.

- Ale... ale... ale... - zająknął się Rojas.

- Dość tego! - uciał Djaro. - Idziemy. Żałuję tylko, że mój program nie pozwoli mi tu przyjechać jeszcze raz.

Kiedy wracali, Djaro polecił księciu Rojasowi wsiąść do drugiego samochodu, wraz ze strażą przyboczną. Tak więc przez całą drogę do Rocky Beach czterej chłopcy mogli rozmawiać swobodnie.



Książę Djaro wypytywał Trzech Detektywów o ich życie. Opowiedzieli mu, jak założyli swą firmę detektywistyczną, jak zaprzyjaźnili się z Alfredem Hitchcockiem, i wspomnieli o niektórych swoich przygodach.

- Brojas! - wykrzykiwał Djaro. - Och, jakże wam zazdroszczę! Amerykańscy chłopcy mają tyle swobody. Wcale nie chciałem być księciem. No, prawie wcale. Sprawowanie rządów w moim kraju, jakkolwiek jest mały, to mój obowiązek. Nigdy nie byłem w szkole, zawsze miałem guwernerów. Tak więc niewiele mam przyjaciół i nigdy, aż do dziś, nie robiłem nic emocjonującego. W życiu nie miałem takiej zabawy. Czy wolno mi uważać was za przyjaciół? Bardzo bym tego pragnął.

- Będziemy twymi przyjaciółmi z radością - odpowiedział Pete.

- Dziękuję - książę Djaro uśmiechnął się. - Czy wiecie, że dziś po raz pierwszy postawiłem się księciu Rojasowi? To był dla niego szok. I będzie to szok także dla księcia Stefana. Czeka ich więcej szokujących niespodzianek. W końcu jestem księciem i zamierzam... jak to powiedzieć?...

- Domagać się należnego respektu? - podsunął Jupiter.

- Narzucić swą wolę - powiedział Bob.

- Tak jest, narzucić swą wolę - podchwycił Djaro radośnie. - Księcia Stefana czekają niespodzianki.

Wjeżdżali do Rocky Beach. Jupiter objaśnił szoferowi, jak jechać do składu złomu Jonesa i w kilka minut byli pod wielką, żelazną bramą składu. Gdy wysiadali, Jupiter zaprosił księcia do ich Kwatery Głównej, lecz Djaro potrząsnął głową.

- Niestety, nie mam już czasu. Wieczorem muszę iść na jakiś obiad, a jutro lecę z powrotem do Waranii. Stolicą Waranii jest Denzo. Pałac, w którym mieszkam, wzniesiono na ruinach starego zamku. Zawiera trzysta pokoi, jest niezbyt przytulny i pełen przeciągów. To jedna z cen, jakie się płaci za książęcy tytuł. Nie, nie mogę zostać dłużej, choć bardzo bym chciał. Muszę wracać i przygotować się do objęcia rządów w moim kraju. Ale nigdy was nie zapomnę i któregoś dnia spotkamy się ponownie. Jestem pewien.

Wsiadł do swej wielkiej limuzyny i odjechał. Za nim podążył mniejszy samochód, w którym stłoczeni ludzie ze straży przybocznej przyłgnęli twarzami do okien. Trzej chłopcy spoglądali za odjeżdżającymi.

- Całkiem miły facet jak na księcia - powiedział Pete. - Jupe... Jupe, o czym ty myślisz? Masz ten twój wyraz twarzy!

Jupe zamrugał oczami.

- Zastanawiające. Myślałem o tym, jak to o mało nie wpadliśmy na jego samochód. Czy nie zaskoczyło was w całym zajściu coś dziwnego?

- Dziwnego? - zapytał Bob. - Nie, może o tyle, że mieliśmy szczęście, bo nie doszło do zderzenia.

- O co ci chodzi? - zapytał Pete.

- O Markosa, szofera księcia - odparł Jupiter. - Wyjechał z ulicy, gdzie był znak "stop", prosto przed nasz samochód. Musiał nas widzieć, ale zamiast dodać gazu, żeby zjechać nam z drogi, zahamował. Gdyby Worthington nie był doskonałym kierowcą, rąbnęlibyśmy w limuzynę dokładnie w miejscu, gdzie siedział Djaro. Prawdopodobnie zostałby zabity.

- Pewnie Markos po prostu zgłupiał i zrobił coś, czego nie powinien - powiedział Pete.

- Zastanawiam się... - mruknął Jupiter. - Och, mniejsza o to! Chyba to nic ważnego. Fajnie, że spotkaliśmy Djaro. Wątpię, czy go jeszcze kiedyś zobaczymy.

Lecz Jupiter się mylił.

## Rozdział 2

### Niespodziewane zaproszenie

Kilka dni później Trzej Detektywi siedzieli w swej Kwaterze Głównej, czyli przerobionej przyczepie kempingowej, ukrytej wśród stert rupieci i złomu zalegających skład Jonesa. Bob czytał właśnie list, który nadszedł w porannej poczcie - pewna pani z Malibu Beach prosiła, by znaleźli jej zaginionego psa - gdy zadzwonił telefon.

Był to ich własny telefon i opłacali go z zarobionych u Tytusa Jonesa pieniędzy. Nieczęsto dzwonił. Gdy to się zdarzało, nieodmiennie oznaczało jakieś emocje. Jupiter porwał słuchawkę.

- Halo, tu Trzej Detektywi. Mówi Jupiter Jones.

- Dzień dobry, Jupiterku - zagrzmiął z podłączonego do telefonu głośnika głęboki głos Alfreda Hitchcocka. - Cieszę się, że cię zastałem. Chciałem dać ci znać, że niebawem będziesz miał gościa.

- Gościa? - powtórzył Jupiter. - Czy chodzi o jakąś tajemniczą sprawę, proszę pana?

- Nic więcej nie mogę ci powiedzieć - odparł Alfred Hitchcock. - Zostałem zobowiązany do dyskrecji. Odbylem długą rozmowę z tą osobą i zarekomendowałem was gorąco. Otrzymacie zaskakujące zaproszenie. Chciałem was tylko uprzedzić. A teraz muszę się już pożegnać.

Rozmowa była skończona i Jupe odłożył słuchawkę. Chłopcy wymienili spojrzenia.

- Myślicie, że to nowa sprawa dla nas? - zapytał Bob.

I właśnie w tym momencie przez otwarty lufcik przyczepy dobiegło ich gromkie wołanie Matyldy Jones, ciotki Jupe'a.

- Jupiter! Chodź tu zaraz! Ktoś do ciebie!

Po chwili chłopcy czołgali się przez Tunel Drugi. Była to duża rura, która prowadziła spod otworu w podłodze przyczepy do sekretnego wejścia w pracowni Jupe'a. Stąd, przeciskając się między stertami rupieci, w minutę dotarli do biura składu.

Przed biurem stał mały samochód, a obok niego młody mężczyzna. Poznali go natychmiast. Był to Amerykanin, eskortujący księcia Djaro owego dnia, gdy omal nie doszło do kraksy.

- Jak się macie - powiedział. - Pewnie nie spodziewaliście się zobaczyć mnie znowu. Pozwólcie, że tym razem się przedstawię. Jestem Bert Young, oto moja legitymacja.

Pokazał im kartę, wyglądającą jak legitymacja służbowa, po czym wsunął ją z powrotem do portfela.

- Jestem tu w oficjalnej sprawie rządowej. Gdzie możemy porozmawiać poufnie?

- Tam, w głębi - odpowiedział Jupiter, wytrzeszczając z lekka oczy.

Agent rządowy chce rozmawiać z nimi poufnie. W dodatku niewątpliwie wypytywał o nich Alfreda Hitchcocka. O co może chodzić?

Poprowadził gościa do swej pracowni. Wyszukał dwa stare krzesła, a Bob i Pete usiedli na skrzyni.

- Domyślcie się może, dlaczego tu jestem - powiedział Bert Young.

Nie mieli pojęcia, czekali więc na jego dalsze słowa.

- Chodzi o księcia Waranii, Djaro.

- Księżę Djaro! - wykrzyknął Bob. - Co u niego słyhać?

- Miewa się dobrze i przesyła wam pozdrowienia. Rozmawiałem z nim dwa dni temu. Otóż chciałby, żebyście wszyscy trzej przyjechali do niego i zostali przez dwa tygodnie, aż do jego koronacji.

- O rany! - zawołał Pete. - Jechać tak daleko, do Europy? Jest pan pewien, że mu o nas chodzi?

- O was i tylko o was - odparł Young. - Zdaje się, że od wyprawy do Disneylandu uważa was za swoich prawdziwych przyjaciół. Nie ma ich wielu. W Waranii trudno mu odróżnić prawdziwych przyjaciół od tych, którzy mu tylko schlebiają, bo jest księciem. Was jest pewien. Pragnąłby mieć teraz przy sobie przyjazne dusze, dlatego was zaprasza. Powiem wam prawdę: to ja postarałem się, żeby wpadł na ten pomysł.

- Pan? - zdziwił się Bob. - Dlaczego?

- A więc - odpowiedział Bert Young - tak to wygląda. Warania jest spokojnym państwem. Jest neutralna jak Szwajcaria. Stany Zjednoczone to zadowala, oznacza bowiem, że Warania nie udziela pomocy żadnemu nieprzyjaznemu państwu.

- Jakiej pomocy może komukolwiek udzielić tak mały kraj jak Warania? - odezwał się wreszcie Jupiter.

- Byłbyś zaskoczony. Może na przykład dopuścić, by powstał tam ośrodek działań szpiegowskich. Ale nie będę się wdawał w szczegóły. Istotne jest, czy przyjmujecie zaproszenie księcia?

Chłopcy zawahali się. Oczywiście chcieliby pojechać, ale nie wszystko było takie proste. Po pierwsze, zgoda rodziców, po drugie, pieniądze, nie mówiąc już o paszportach. Bert Young rozwiał ich wątpliwości.

- Porozmawiam z waszymi rodzicami - powiedział. - Myślę, że uda mi się przekonać ich, że będziecie pod dobrą opieką. Po pierwsze, ja sam tam będę i zajmę się wami. Będziecie gośćmi księcia. Po drugie, rząd wyda wam paszporty, opłaci przelot i zaopatrzy w pieniądze na drobne wydatki. Chcemy, byście się zachowywali jak typowi amerykańscy turyści lub powiedzmy tak, jak ich sobie wyobrażają Waranianie. To znaczy będziecie sobie kupowali pamiątki, robili zdjęcia...

Bob i Pete byli zbyt uradowani, by mieć jakieś wątpliwości. Jupiter jednak zmarszczył czoło.

- Dlaczego rząd miałby dla nas zrobić to wszystko? Przecież nie ze wspaniałomyślności. Rządy nie bywają tak hojne.

- Alfred Hitchcock powiedział, że jesteś inteligentny - zaśmiał się Bert Young. - Z przyjemnością stwierdzam, że ma rację. Prawda jest taka, że rząd chce was zatrudnić jako tajnych agentów w Waranii.

- Chce pan powiedzieć, że mamy szpiegować księcia Djaro? - zapytał z oburzeniem Pete.

Bert Young potrząsnął głową.

- Absolutnie nie. Ale miejcie oczy otwarte i jeśli tylko zobaczycie lub usłyszycie coś podejrzanego, dajcie mi natychmiast znać.

- Wydaje mi się to dziwne - powiedział Jupiter poważnie. - Myślałem, że rząd ma swoje źródła informacji, które...

- Jesteśmy tylko ludźmi - przerwał mu Bert Young. - Zdobywanie informacji w Waranii jest trudne. Widzisz, Waranianie to bardzo dumni ludzie. Nie godzą się na wyświadczanie usług obcokrajowcom i czują się dotknięci, gdy im się coś takiego proponuje. Cenią sobie wysoko swoją neutralność. Tym niemniej doszły nas słuchy, że szykuje się tam coś niedobrego. Proszę was, byście trzymali to w głębokiej tajemnicy. - Popatrzył uważnie na każdego z chłopców.

Kiwnęli z powagą głowami.

- Dobrze. Podzielę się z wami naszymi podejrzeniami. Odnosimy wrażenie, że regent, książę Stefan, jest nieuczciwy. Ma sprawować rządy do chwili koronacji księcia Djaro i możliwe, że nie zechce do tej koronacji dopuścić. Książę Stefan, premier i cała Rada Najwyższa, odpowiednik naszego Kongresu, postępują bardzo przebiegle. Wydaje nam się jednak, że mogą uniemożliwić Djaro objęcie władzy.

- Jest to właściwie - kontynuował Young - wewnętrzna sprawa państwa i nie powinniśmy się wtrącać. Krążą jednak pogłoski, że zamiary księcia Stefana idą znacznie dalej. Na tym urywają się nasze informacje. Musimy wiedzieć, do czego zmierza książę Stefan. Jeśli zamieszkacie na miejscu, w pałacu, kto wie, może uda wam się uzyskać jakieś wiadomości. Nikt z nas nie jest w stanie zbliżyć się z Waranianami na tyle, żeby dowiedzieć się prawdy. Być może Djaro coś wie, jest zbyt dumny, by prosić o pomoc, ale zwierzy się

wam. Być może ktoś z jego otoczenia, traktując was jak zwykłe dzieciaki, powie coś nieostrożnie. Czy podejmiecie się tego zadania?

Bob i Pete pozostawili podjęcie decyzji Jupe'owi, jako głowie ich zespołu. Jupe zastanawiał się chwilę, wreszcie skinął potakująco.

- Jeśli to, czego od nas wymagacie, pomoże Djaro, podejmujemy się. Oczywiście, jeśli nasze rodziny się zgodzą. Daliśmy Djaro słowo, że będziemy jego przyjaciółmi, i zrobimy wszystko, żeby go nie zawieść.

- Oto co chciałem usłyszeć! - ucieszył się Bert Young. - Tylko jedna rada. Nie mówcie Djaro o naszych podejrzaniach. Starajcie się w miarę możliwości, żeby on sam wam jak najwięcej powiedział. Nie dopuście też, by ktokolwiek domyślił się, po co tam jesteście. Niemal wszyscy Waranianie są lojalni wobec Djaro. Uwielbiali jego ojca, który osiem lat temu zginął w wypadku na polowaniu. Książę Stefan jest nielubiany. Lecz jeśli Waranianie zwietrzą, że szpiegujecie, nawet w dobrych intencjach, podniosą straszną wrzawę. Tak więc, miejcie oczy i uszy otwarte, ale usta zamknięte. Rozumiecie? Świetnie, koledzy, do roboty!

## Rozdział 3

### Srebrny pająk

Warania! Bob stał na kamiennym balkonie i spoglądał na dachy starego miasta Denzo. W porannym słońcu miasto było morzem falujących drzew, wśród których czerwieniły się kryte dachówką dachy i sterczały wieże budynków biurowych. O niecały kilometr dalej, na niewielkim wzgórzu wznosiła się złota kopuła wielkiego kościoła. Tuż pod balkonem, na brukowanym kamieniami dziedzińcu, uwijały się kobiety z wiadrami i szczotkami. Szorowały każdy kamień.

Kamienny pałac liczył pięć kondygnacji. Za nim płynęła szeroka i bystra rzeka Denzo, zataczając łuk wokół miasta. Po jej wodach posuwały się wolno małe statki wycieczkowe. Widok był bardzo malowniczy. Bob mógł się nim w pełni nacieszyć z balkonu ich narożnego pokoju na trzecim piętrze.

- Całkiem inaczej niż w Kalifornii - powiedział Pete, wychodząc na balkon. - Od razu widać, że to miasto jest stare.

- Zostało założone w 1335 roku - przytaknął Bob. Przeczytał oczywiście o Waranii i jej historii w ciągu gorączkowych dni poprzedzających tę emocjonującą podróż. - Było kilkakrotnie napadane i niszczone, ale zawsze je odbudowywano. W 1675 roku księżę Paul rozgromił rebeliantów i stał się bohaterem narodowym jak nasz George Washington. Odtąd panuje tu pokój. Wszystko, co stąd widzimy, ma około trzystu lat. Jest także nowoczesna część miasta, ale stąd jej nie widać.

- Pięknie - powiedział Pete z zachwytem. - Jak daleko rozciąga się kraj poza tym miastem?

- Obejmuje w sumie tylko około stu kilometrów kwadratowych. To naprawdę mały kraj. Widzisz te wzgórza w oddali? Ich szczyty wytyczają granicę Waranii. Kraj rozciąga się wzdłuż rzeki Denzo, około czternastu kilometrów w górę jej biegu. Zajmują się tu uprawą



winogron, produkcją tekstylną i turystyką. Malownicze widoki ściągają wielu turystów. Żeby stworzyć im odpowiednią atmosferę, obsługa wielu sklepów nosi starodawne stroje.

Jupiter zjawił się na balkonie. Zapinał guziki jasnej, sportowej koszuli, obejmując pełnym zachwytu spojrzeniem roztaczający się przed nim widok.

- Zupełnie jak sceneria filmu, tyle że to jest prawdziwe - powiedział. - Co to za kościół tam, Bob?

- To pewnie kościół Świętego Dominika. Jest największy. Jedyny, który ma złotą kopułę i dwie dzwonnice. Widzisz ich strzeliste dachy? W tej po lewej jest osiem dzwonów, które dzwonią na msze i w święta narodowe, a w tej po prawej znajduje się jeden olbrzymi dzwon, zwany dzwonem księcia Paula. Podczas buntu w 1675 roku książe bił w ten dzwon, by zawiadomić swych stronników, że nie zginął i potrzebuje ich pomocy. Ściągnęli zewsząd i przepędzili rebeliantów. Od tego czasu bije tylko dla rodziny książęcej. Gdy panujący jest koronowany, dzwon bije sto razy, bardzo powoli. Gdy rodzi się nowy członek rodziny książęcej, dzwon bije pięćdziesiąt razy. Na wesele - siedemdziesiąt pięć razy. Jego ton jest bardzo głęboki, głębszy niż któregośkolwiek dzwonu w mieście i słychać go na odległość wielu kilometrów.

- Poczciwa Dokumentacja! - roześmiał się Pete.

- Powinniśmy się przygotować na spotkanie z Djaro - powiedział Jupiter. - Królewski szambelan dał nam znać, że Djaro zje z nami śniadanie.

- Jak już mowa o śniadaniu, przegryzłbym coś - wyznał Pete. - Ciekaw jestem, gdzie będziemy jedli.

- Poczekamy, zobaczymy - odparł Jupe. - Chodźcie sprawdzić, czy nasz ekwipunek jest w porządku. W końcu jesteśmy tu służbowo.

Chłopcy z Jupe'em na czele wrócili do pokoju. Była to wysoka komnata. Miała ściany wyłożone boazerią o atlasowym połysku. Nad szerokim łóżem, w którym wszyscy trzej spali, widniał wyrzeźbiony herb rodziny Djaro.

Ich torby podróżne leżały wciąż nie rozpakowane. Po przyjeździe, poprzedniego wieczoru, otworzyli je tylko po to, żeby wyjąć pizamy i szczotki do zębów.

Podróżowali odrzutowcem, najpierw do Nowego Jorku, a stamtąd do Paryża. Nie zobaczyli jednak żadnego z tych miast, gdyż nie opuszczali nawet lotniska. W Paryżu przesiadli się na helikopter, który dowiózł ich na małe lotnisko w Denzo. Stąd zabrano ich do pałacu samochodem. Powitał ich szambelan królewski. Doniósł im, że Djaro odbywa właśnie ważne zebranie i nie będzie mógł widzieć się z nimi aż do następnego rana. Powiódł ich następnie do ich sypialni przez nie kończące się kamienne korytarze. Tu padli na łóżko i zasnęli natychmiast, nie zdążywszy się nawet rozpakować. Zabrali się do tego teraz. Złożyli swoje ubrania w przestronnej, antycznej szafie, w torbach pozostały tylko trzy aparaty fotograficzne.

Tak, wyglądały jak duże, kosztowne aparaty fotograficzne i istotnie pełniły tę rolę. Zaopatrzone były w lampy błyskowe i mnóstwo dobrych urządzeń. Ale mogły także służyć jako radia. W tylną obudowę każdego aparatu wmontowane było nadzwyczaj silne walkie-talkie. Lampa błyskowa była równocześnie anteną nadawczo-odbiorczą. Zasięg odbioru dochodził do dwudziestu kilometrów, a nawet z wnętrza budynku aparat działał na odległość około czterech kilometrów. Walkie-talkie funkcjonowały tylko na dwu pasmach częstotliwości i nie mogły być odbierane przez radia czy inne walkie-talkie. Jedyne, oprócz trzech leżących właśnie na łóżku, nastrojone na tę samą częstotliwość, znajdowało się w ambasadzie amerykańskiej, gdzie przebywał Bert Young.

Bert towarzyszył im w drodze z Los Angeles do Nowego Jorku i odbył z nimi poważną rozmowę. Między innymi zapewnił ich, że zawsze będzie w pobliżu i będą się co wieczór kontaktować przez radioaparat fotograficzny. Albo częściej, jeżeli będą mu mieli do zakomunikowania coś ważnego.

- Zrozumcie mnie dobrze, koledzy - mówił. - Być może wszystko pójdzie gładko i Djaro zostanie koronowany w przewidzianym terminie. Czuję jednak, że szykują się kłopoty, i mam nadzieję, że pomożecie nam je ujawnić.

Jak już mówiłem, nie zadawajcie pytań. Waranianie nie lubią, by ktoś się wtrącał w ich sprawy. Zwiedzajcie, fotografujcie widoki i miejcie oczy i uszy otwarte. Będziecie mi regularnie przekazywać sprawozdania przez radio w aparacie fotograficznym. Będę na moim stanowisku odbiorczym, prawdopodobnie w ambasadzie amerykańskiej.

To na razie wszystko. Z chwilą gdy wsiądziecie na pokład samolotu do Paryża, staniecie się samodzielni. Ja lecę do Waranii innym samolotem i wszystko przygotowuję. Dalsze plany będziemy podejmowali zgodnie z rozwojem wypadków. W czasie naszych kontaktów radiowych będziecie się nazywali Pierwszy, Drugi i Dokumentacja. Rozumiecie?

Bert Young zamilkł i otarł czoło. Chłopcy mieli ochotę zrobić to samo. Byli nieco przerażeni powierzonym im zadaniem. Czyniło ich však agentami wywiadu w służbie Stanów Zjednoczonych.

Teraz, patrząc na aparaty, przypominali sobie wszystko, co mówił Bert Young, i to ich niemal obezwładniało. Pierwszy otrząsnął się Pete. Wyjął swój aparat i otworzył jego skórzany futerał. Na dnie znajdował się jeszcze jeden przyrząd - małe magnetoфон tranzystorowy, tak czuły, że mógł nagrać rozmowę toczącą się w drugim końcu pomieszczenia.

- Może powinniśmy skontaktować się z panem Youngiem przed spotkaniem z Djaro? Tylko żeby się upewnić, że wszystko działa.

- Dobry pomysł, Drugi - przystał Jupiter. - Wyjdę na balkon i sfotografuję widok.

Wziął swój aparat i przeszedł spieszenie przez pokój. Na balkonie otworzył futerał i ustawił obiektyw na kopułę kościoła Świętego Dominika. Następnie nacisnął przycisk uruchamiający walkie-talkie. Schylił się nad aparatem, niby sprawdzając obraz w obiektywie, i powiedział cicho:

- Pierwszy się zgłasza. Tu Pierwszy, czy mnie odbierasz?

Bert Young odezwał się niemal natychmiast:

- Odbieram cię. Masz coś do zakomunikowania?

- Sprawdzam tylko urządzenie. Nie widzieliśmy się jeszcze z Djaro. Mamy się spotkać przy śniadaniu.

- Będę na miejscu. Miejcie się na baczności. Koniec odbioru.

- Zrozumiano - powiedział Jupe i wrócił do pokoju właśnie w chwili, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Pete otworzył, w drzwiach stał rozpromieniony książę Djaró.

- Przyjaciele! Pete! Bob! Jupiter! - wykrzyknął obejmując ich serdecznie. - Jakże się cieszę, że was widzę. Co myślicie o moim kraju i mieście? Ach prawda, nie mieliście jeszcze czasu wiele zobaczyć. Zajmę się tym, jak tylko zjemy śniadanie.

Odwrócił się i przywołał kogoś skinieniem ręki.

- Wejdźcie. Przygotujcie stół pod oknem.

Ośmiu służących w złoto-szkarłatnych liberiach wniosło stół, krzesła i kilka półmisek ze srebrnymi pokrywami. Podczas gdy Djaró rozmawiał wesoło, ustawili stół, nakryli lnianym obrusem i srebrną zastawą, po czym zdjęli pokrywy. Ukazały się jaja na bekonie, parówki, tosty, wafle i szklanki z mlekiem.

- Wygląda nieźle! - ucieszył się Pete. - Umieram z głodu.

- Łatwo się tego domyślić - powiedział Djaró. - Biermy się do jedzenia. Chodź, Bob, co tam oglądasz?

Bob przypatrywał się ogromnej pajęczynie, rozpiętej między wezłowiem łóżka a odległym o kilkadziesiąt centymetrów, narożnikiem pokoju. Duży pająk obserwował go ze szpary między boazerią a podłogą. Bob pomyślał sobie, że mimo tak licznej służby, nie sprzątno tu zbyt skrupulatnie.

- Zauważyłem pajęczynę - powiedział. - Zaraz ją zmiotę.

Zrobił krok w stronę pajęczyny, gdy ku zdumieniu chłopców, książę Djaró rzucił mu się pod nogi. Bob przewrócił się, nim zdążył tknąć pajęczynę. Djaró pomógł mu się podnieść. Pete i Jupe obserwowali go ze zdumieniem.

- Powinienem był cię ostrzec wcześniej, Bob, ale nie miałem okazji - powiedział Djaró spiesźnie. - Na szczęście zdążyłem cię powstrzymać. Gdybyś zniszczył pajęczynę, musiałbym

cię natychmiast odesłać do domu. Cieszę się, że zdołaliśmy tego uniknąć. Widzę w tym dobry znak, znak, że będziecie mogli mi pomóc.

Zniżył głos, jakby się obawiał, że ktoś podsłuchuje. Podeszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Czarnowłosa mężczyzna w czerwonym żakiecie, z fantazyjnie zakręconym wąsem, stanął na baczność.

- Tak, Bilkis, o co chodzi? - zapytał Djaro.

- Pozostałem tu na wypadek, gdyby Wasza Wysokość czegoś potrzebował.

- Na razie niczego nie potrzebuję - warknął Djaro. - Zostaw nas i wróć za pół godziny po talerze.

Mężczyzna skłonił się i odszedł w głąb długiego korytarza.

Djaro zamknął drzwi i wrócił do chłopców.

- Jeden z ludzi księcia Stefana - powiedział cicho. - Możliwe, że nas szpieguje. Mam wam do powiedzenia coś bardzo ważnego. Potrzebuję waszej pomocy. Skradziono srebrnego pająka Waranii!

## Rozdział 4

### Opowieść Djaro

- Mam wam wiele do opowiedzenia - mówił Djaro - ale najpierw zjedźmy. Potem spokojnie porozmawiamy.

Gdy najedli się do syta, wrócili służący i zabrali stół z nakryciem. Djaro upewnił się, czy Bilkis nie czai się znowu pod drzwiami, po czym przesunął krzesła blisko okna i zaczął swą opowieść.

- Najpierw musicie dowiedzieć się czegoś ważnego z historii Waranii. W roku 1675 tuż przed koronacją księcia Paula, wybuchła rewolta i księżę musiał zbiec. Ukrył się w domu skromnej rodziny bardów, czyli śpiewaków ulicznych, zarabiających pieśniami na chleb. Ukryli księcia na strychu swego domu, ryzykując własnym życiem. Przeszukiwano wszystkie domy od góry do dołu i znaleziono by niechybnie księcia, gdyby nie to, że pajak zasnuł pajęczyną otwór w podłodze strychu, jak tylko Paul przezeń przeszedł. Wyglądało więc, jakby od wielu dni nikt nie tknął klapy wjazdu na strych. Poszukujący nie zadali sobie nawet trudu, żeby tam zajrzeć. Księżę Paul przesiedział tak trzy dni bez jedzenia i wody. Widzicie, rodzina bardów nie mogła dostać się na strych, nie zrywając pajęczyny, która ocaliła księciu życie. Koniec końców, mój przodek wyszedł z ukrycia, uderzył w dzwon, zwany teraz dzwonem księcia Paula, i tak zgromadził swych popleczników, i przepędził buntowników z miasta.

Kiedy wstępował później na tron, nosił na piersi godło wykonane przez najlepszego srebrnika w mieście. Był nim srebrny pajak, zawieszony na srebrnym łańcuchu. Księżę ogłosił pajaka narodowym amuletem Waranii i symbolem panującej rodziny królewskiej. Wydał również dekret, ustanawiający, że w czasie koronacji księżę musi mieć na piersi srebrnego pajaka księcia Paula.

Od owego dnia pajak stał się symbolem szczęścia w Waranii. Panie domu z radością odnajdują w domu pajęczynę. Nikt nigdy nie usuwa jej i nikt nie zabiłby rozmyślnie pajaka.

- To by nie przeszło u mojej mamy! - wykrzyknął Pete. - Nie cierpi pajęczyn i twierdzi, że pająki są brudne i jadowite.

- Wprost przeciwnie - odezwał się Jupiter. - Pająki to bardzo czyste stworzenia. Myją się ciągle, niczym koty. Niektóre, jak na przykład czarna wdowa, są w pewnym stopniu jadowite. Ale pająk nie sprowokowany nic ci nie zrobi. Nawet duże pająki, jak tarantula, nie są tak niebezpieczne, jak się powszechnie uważa. Gdy robiono doświadczenia, musiano je specjalnie drażnić, żeby ukąsiły. Większość pajaków, zwłaszcza w tej części świata, jest nieszkodliwa a nawet pożyteczna, gdyż tępią inne owady.

- To prawda - przytaknął książę Djaro. - Tu w Waranii nie ma jadowitych pajaków. Ten, którego zwiemy pajakiem księcia Paula, należy do największej z naszych odmian i jest bardzo ładny. Odwłok ma czarny w złote cętki. Zazwyczaj buduje swe pajęczyny na dworze, czasami jednak wchodzi do wnętrza budynków. Pajęczyna, której o mało nie zniszczyłeś, Bob, to jego dzieło. Stanowi znak, że uda się wam pomóc mi w moich kłopotach.

- Co za szczęście więc, że powstrzymałeś mnie od jej zniszczenia - powiedział Bob. - Jakie masz kłopoty?

Djaro zawahał się. Po chwili potrząsnął głową i powiedział:

- Nikt o tym nie wie, poza księciem Stefanem. Zgodnie ze starą tradycją, o której już wam wspomniałem, każdy książę w czasie koronacji winien mieć zawieszony na szyi srebrnego pająka księcia Paula. Za dwa tygodnie muszę go włożyć i będzie to niemożliwe.

- Dlaczego? - zapytał Pete.

- Bo go skradziono - pospieszył z odpowiedzią Jupe. - Tak, Djaro?

Djaro skinął głową.

- Został skradziony i na jego miejsce położono imitację. Nie mogę jej użyć. Albo znajdę oryginał, albo koronacja nie odbędzie się w terminie. Będzie dochodzenie, wybuchnie skandal. Jeśli do tego dojdzie... nie, nie chcę nawet o tym mówić. Wiem, że dla was wygląda to jak wiele hałasu o nic. Ale srebrny pająk jest dla Waranian tym, czym są klejnoty korony dla Anglików. Nawet więcej. Nikt poza rodziną książęcą w Waranii nie może posiadać srebrnego pająka ani jego imitacji. Wyjątkiem jest order srebrnego pająka, który przyznaje się

za najwyższe zasługi dla kraju. Jesteśmy małym narodem, ale mamy stare tradycje i pozostajemy im wierni w nowoczesnym świecie, gdzie ciągle wszystko się zmienia. Może właśnie w związku z tymi zmianami staramy się podtrzymywać tradycje. Jesteście detektywami. Jesteście również moimi przyjaciółmi. Czy będziecie mogli odnaleźć oryginalnego pająka, jak myślicie?

Jupiter szczytał w zamyśleniu dolną wargę.

- Nie wiem, Djaro. Czy ten srebrny pająk jest naturalnej wielkości?

Djaro skinął głową.

- Mniej więcej wielkości amerykańskiej ćwierćdolarówki.

- Czyli bardzo mały. Można go ukryć wszędzie. Mógł nawet zostać zniszczony.

- Nie sędzę - powiedział Djaro. - Nie, jestem pewien, że go nie zniszczono. Ma zbyt duże znaczenie. Ale masz rację, że łatwo go ukryć. Tym niemniej ten, kto go schował, na pewno wybrał miejsce z niezwykłą ostrożnością. Kiedy zostanie zdemaskowany, musi umrzeć. Nawet jeśli jest to książę Stefan.

Djaro wziął głęboki oddech.

- A więc, wiecie już wszystko. Nie mam pojęcia, jak zdołacie mi pomóc, żywię tylko nadzieję, że wam się to uda. Dlatego, gdy ktoś zaproponował, by zaprosić na koronację mych amerykańskich przyjaciół, przystałem natychmiast. No i jesteście tu. Nikt jednak nie wie, że jesteście detektywami, i nie powinien wiedzieć. Cokolwiek więc będziecie robić, zachowujcie się jak... no jak amerykańscy chłopcy. Co o tym myślicie? - wpatrywał się w nich pytająco. - Czy jesteście w stanie mi pomóc?

- Nie wiem - odpowiedział szczerze Jupiter. - Będzie bardzo trudno znaleźć rzecz tak małą, że można ją ukryć wszędzie. Ale możemy się postarać. Przede wszystkim musimy wiedzieć, jak wygląda ten pająk, i zobaczyć miejsce, z którego został skradziony. Mówiłeś, że zostawiono tam imitację?

- Tak, doskonałą, ale tylko imitację. Chodźcie, pokażę wam to od razu. Pójdziemy do sali, gdzie znajdują się nasze narodowe pamiątki.



Chłopcy wzięli swe aparaty fotograficzne i poszli z księciem Djaro długim, wąskim korytarzem. Następnie zeszli w dół po kręconych schodach i znaleźli się na korytarzu stosunkowo szerokim. Zarówno jego ściany, jak i podłoga i sklepienie były z kamienia.

- Pałac zbudowano blisko trzysta lat temu - objaśniał Djaro. - Fundamenty i część ścian to pozostałość starego zamku. W pałacu jest mnóstwo pustych pokoi. Praktycznie nikt nigdy nawet nie wchodzi na dwa górne piętra. Warania jest biednym krajem i nie stać nas na utrzymywanie służby tak licznej, by mogła się zajmować całym pałacem. Poza tym ogrzewanie zainstalowano tylko w nielicznych pokojach, które zostały zmodernizowane. Możecie sobie wyobrazić, jak by się tu mieszkało bez ogrzewania!

Pozostałością po starym zamku są lochy i piwnice - kontynuował Djaro, gdy schodzili po kolejnych schodach. - Są w nich sekretne wejścia, o których zapomnieliśmy, i sekretne schody, które prowadzą donikąd. Nie radzę zapuszczać się w nieznane części pałacu. Nawet ja mógłbym się tam zgubić - zaśmiał się. - Można by tu nakręcić horror z duchami przemykającymi się przez sekretne przejścia. Na szczęście nie mamy duchów... Och! Idzie księżę Stefan.

Znaleźli się właśnie w dolnym korytarzu. Na wprost nich szedł spieszenie wysoki mężczyzna. Zatrzymał się i skłonił lekko.

- Dzień dobry, Djaro. Czy to są twoi amerykańscy przyjaciele?

Powiedział to tonem chłodnym i oficjalnym. Był wyprężony jak struna, miał orli nos i obwisłe czarne wąsy.

- Dzień dobry, księżę - odpowiedział Djaro. - Tak, to moi przyjaciele. Pozwól, że przedstawię ci Jupitera Jonesa, Pete'a Crenshawa i Boba Andrewsa z Kalifornii w Stanach Zjednoczonych.

Przy każdym nazwisku wysoki mężczyzna skłaniał głowę na centymetr, a jego bystre oczy spoglądały uważnie.

- Witajcie w Waranii - powiedział uprzejmie, lecz chłodno. - Pokazujesz zamek przyjaciołom?

- Idziemy do sali naszych narodowych pamiątek - odparł Djaro. - Interesuje ich nasza historia. Książę Stefan - zwrócił się do chłopców - jest regentem Waranii. Sprawuje rządy od czasu, gdy mój ojciec zginął na polowaniu.

- Rządę w twoim imieniu, książę - dodał szybko książę Stefan - i mam nadzieję, że z korzyścią dla ciebie. Będę wam towarzyszył. Pragnę okazać należny szacunek twoim gościom.

- Doskonale - powiedział Djaro, choć jak Trzej Detektywi dobrze wiedzieli, była to ostatnia rzecz, której sobie życzył. - Nie chcielibyśmy jednak odciągać cię od twoich obowiązków, książę Stefanie. Miałaś, zdaje się, uczestniczyć w radzie dzisiejszego rana?

- Tak - odparł książę Stefan - omawiamy szczegóły twojej koronacji. To szczęśliwe wydarzenie będziemy celebrować już za dwa tygodnie. Kilka minut jednak mogę jeszcze z wami pobyc.

Djaro nic nie odpowiedział i ruszył przodem w głąb korytarza. Weszli do ogromnej, wysokiej sali o dwóch kondygnacjach. Stały tam liczne oszklone gabloty, a ściany zawieszono były obrazami. W gablotach znajdowały się stare chorągwie, tarcze, medale, księgi i inne zabytkowe przedmioty. Każdy z nich zaopatrzony był w białą kartę z opisem. Chłopcy zatrzymali się przy gablocie, w której złożony był złamany miecz. Karta informowała, że jest to miecz księcia Paula, którym rozgromił buntowników w 1675 roku.

- W tej sali zawarta jest historia naszego narodu - mówił książę Stefan. - Jesteśmy małym narodem i nasza historia nie jest zbyt emocjonująca. Bez wątpienia wam, przybyłym z wielkiej Ameryki, musimy wydawać się śmieszni i staroświeccy.

- Nie, proszę pana - zaprzeczył grzecznie Jupiter. - Z tego, co dotąd widzieliśmy, pański kraj wydaje się nam bardzo ciekawy.

- Większość twoich rodaków uważa, że jesteśmy beznadziejnie niepraktyczni i zacofani - powiedział książę Stefan. - Mogę mieć tylko nadzieję, że nie znudzi was powolne tempo, w jakim żyjemy. A teraz wybaczcie mi, muszę się już udać na naradę.

Odwrócił się i odszedł. Bob wydał lekkie westchnienie ulgi.

- Wyrażnie nas nie lubi - powiedział cicho.

- Bo jesteście moimi przyjaciółmi - powiedział Djaro. - Nie chce, żebym miał przyjaciół. Nie chce, żebym wypowiadał swoje zdanie i mu się przeciwstawił, co ostatnio robiłem. Zwłaszcza po powrocie z Ameryki. Ale mniejsza z nim. Patrzcie, to jest portret księcia Paula.

Podeszli do naturalnej wielkości portretu mężczyzny we wspaniałym, czerwonym mundurze ze złotymi guzikami. W ręce dzierzył miecz wparły w podłogę końcem ostrza. Miał szlachetną twarz i orle spojrzenie. Drugą rękę trzymał wyciągniętą przed siebie, na otwartej dłoni siedział pająk. Chłopcy przyjrzeni mu się z bliska. Był istotnie ładny. Miał aksamitnoczarny odwłok ze złotymi cętkami.

- Mój przodek - powiedział z dumą Djaro. - Książę Paul Zdobywca oraz pająk, który uratował mu życie.

Chłopcy stali wpatrzeni w obraz. Za ich plecami przesuwali się turyści, którymi wypełniała się sala. Rozmawiali w różnych językach, także po angielsku. Nosili aparaty fotograficzne lub przewodniki turystyczne, przeważnie jedno i drugie. W drzwiach stali dwaj królewscy gwardziści z pikami w rękach.

Tuż za chłopcami przystanęła para Amerykanów, tęgi mężczyzna z żoną.

- Fuj! - wykrzyknęła kobieta. - Popatrz na tego wstrętnego pająka!

- Cii! - uciszył ją mężczyzna. - Nie mów tego głośno przy tubylcach. To jest ich maskotka. Poza tym pająki są o wiele sympatyczniejsze, niż się uważa. Po prostu przyłgnęła do nich zła opinia.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedziała kobieta. - Rozdepczę każdego pająka, na którego się natknę.

Pete i Bob uśmiechnęli się. Djaro zmrużył oczy. Przeszli dalej i okrążywszy wolno salę, znaleźli się pod drugimi drzwiami. Przy nich stał również gwardzista.

- Pragnę wejść, sierzancie - powiedział Djaro.

Żołnierz zaszalutował z respektem.

- Tak jest, sire - powiedział.

Odsunął się, a Djaro wyjął klucz i otworzył masywne, nabijane mosiężnymi ćwiekami drzwi. Weszli do niewielkiego przedsionka, na końcu którego znajdowały się następne zamknięte drzwi. Po otwarciu ich, ukazały się drzwi trzecie, a raczej brama z kutego żelaza. Kiedy i te zostały wreszcie otwarte, znaleźli się w pomieszczeniu wielkości około dwudziestu czterech metrów kwadratowych. Wyglądało jak skarbiec i istotnie nim było. W gablotach pod ścianą leżały insygnia królewskie - berło i korona, a także kilka naszyjników i pierścieni.

- Biżuteria dla przyszłej księżnej - powiedział Djaro. - Niewiele mamy klejnotów, bo nie jesteśmy bogaci. Za to, jak widzicie, strzeżemy dobrze tego, co posiadamy. Ale nie to chciałem wam tu pokazać.

Podszedł do gabloty, jedynej stojącej na środku pokoju. Zawierała pająka na srebrnym łańcuchu, umieszczonego na specjalnej podpórce. Chłopcy stwierdzili ze zdziwieniem, że pająk wygląda jak żywy.

- To srebro pokryte emalią - wyjaśnił Djaro. - Spodziewaliście się, że będzie cały tylko ze srebra? Nie, to czarna emalia ze złotymi cętkami. Oczy są z małych rubinów. Ale to nie jest prawdziwy pająk Waranii. Oryginał jest o wiele wspanialszy.

Pająk wydawał się chłopcom doskonale wykonaną biżuterią, ale wierzyli księciu na słowo. Oglądali pająka uważnie ze wszystkich stron, by dobrze zapamiętać jego wygląd na wypadek, gdyby udało im się odnaleźć oryginał.

- Prawdziwy pająk został zabrany stąd w zeszłym tygodniu i zastąpiony tą imitacją - mówił Djaro z goryczą. - Podejrzewam tylko jedną osobę, jest nią książę Stefan. Nie mogę go jednak oskarżyć bez dowodów. Sytuacja polityczna jest bardzo delikatna. Wszyscy członkowie Rady Najwyższej są ludźmi Stefana. Dopóki nie zostaną koronowani, posiadam niewielką władzę. Oni nie życzą sobie mojej koronacji. Kradzież książęcego pająka jest pierwszym krokiem zmierzającym do uniemożliwienia mi przejęcia władzy. Nie będę was nudził dalszymi szczegółami. Poza tym sam muszę wziąć udział w naradzie. Tak więc wyprowadzę was stąd i będę musiał was opuścić. Czeka na was samochód z szoferem. Możecie zwiedzić miasto. Zobaczymy się znowu wieczorem, po obiedzie, i wtedy porozmawiamy.

Opuścili skarbiec. Dżaro pozamykał starannie wszystkie drzwi. Następnie uściskał im ręce i objaśnił, gdzie znajdują oczekujący ich samochód.

- Kierowcy na imię Rudi. To oddany mi człowiek. - Westchnął z żalem. - Chętnie pojechałbym z wami. Być księciem to nudne zajęcie, ale nie mogę tego zmienić. Bawcie się dobrze i do zobaczenia wieczorem.

Odszedł spiesznie w głąb korytarza. Bob podrapał się w głowę.

- Jak myślisz, Jupe? Czy uda nam się znaleźć tego pająka?

- Nie wiem jak - westchnął Jupiter. - Chyba że dopisze nam nadzwyczajne szczęście.

## Rozdział 5

### Złowieszcza rozmowa

Przejażdżka po stolicy sprawiła Trzem Detektywom radość. Wychowali się w Kalifornii, gdzie wszystko było stosunkowo nowe. Toteż Warania wydała im się niesłychanie stara. Nawet budynki mieszkalne zbudowane były z kamienia lub żółtej cegły. Wiele dachów było krytych czerwoną dachówką. Co krok trafiali na skwery z fontannami. Wszędzie, a zwłaszcza przed katedrą Świętego Dominika, dostojnie stapały gołębie.

Odbywali turę standardowym otwartym samochodem. Kierowca, młody mężczyzna w zgrabnym uniformie, mówił dobrze po angielsku. Przedstawił im się i powiedział, że mogą mu ufać, gdyż jest lojalny w stosunku do księcia Djaro. Zawiózł ich na wzgórze za miastem, gdzie mogli podziwiać widok na rzekę w dole. Zrobili trochę zdjęć i wrócili do samochodu. Gdy wsiedli, Rudi powiedział cicho:

- Śledzono nas. Ktoś jechał za nami, odkąd ruszyliśmy spod pałacu. Zawiozę was teraz do parku. Będziecie mogli tam pospacerować, popatrzeć na występy. A teraz nie oglądajcie się. Nie dajcie poznać po sobie, że wiecie, że jesteśmy śledzeni.

Nie oglądać się! Trudno było się oprzeć. Kto ich śledził? Dlaczego?

- Chciałbym wiedzieć, o co chodzi - mruzczał Pete, gdy jechali przez barwne ulice. - Dlaczego ktoś jedzie za nami? Nic o niczym nie wiemy.

- Ktoś może myśleć, że wiemy - powiedział Jupiter.

- Ktoś chciałby, żebyśmy wiedzieli - odezwał się Bob.

Rudi zatrzymał samochód. Znajdowali się przed dużym zadrzewionym skwerem, gdzie spacerowało wiele ludzi. Z oddali dobiegały dźwięki muzyki.

- To nasz główny park - Rudi wysiadł i otworzył im drzwi samochodu. - Wejdźcie wolno do środka. Przejdziecie koło podium dla orkiestry, potem znajdziecie miejsce, gdzie

występują akrobaci i klauni. Zróbcie im zdjęcia. Będzie tam dziewczyna sprzedająca balony. Zapytajcie, czy możecie ją sfotografować. To moja siostra Elena. Ja poczekam tu na was. Aha, i nie oglądajcie się za siebie. Prawdopodobnie będą szli za wami, ale nie macie się czego obawiać. Jeszcze nie.

- Jeszcze nie - powtórzył Pete, gdy szli wolno pod drzewami w stronę, skąd dobiegała muzyka. - No, przynajmniej jest na co czekać.

- Jakże my możemy pomóc księciu Djaro? - zastanawiał się Bob.

- Kompletne strzelanie w ciemno, a z drugiej strony nie możemy po prostu nic nie robić.

- Musimy poczekać na dalszy rozwój wypadków - powiedział Jupiter. - Moim zdaniem śledzą nas, by sprawdzić, czy się z kimś nie kontaktujemy. Na przykład z Bertem Youngiem.

Wyszli na polanę, gdzie wiele osób siedziało na trawie. Na maleńkiej estradzie ośmiu mężczyzn w barwnych strojach grało na klarnetach. Zakończyli właśnie jeden utwór, zebrali oklaski i z jeszcze większym wigorem przystąpili do wykonywania następnego.

Trzej Detektywi okrążyli estradę i poszli dalej. Sporo ludzi spacerowało po tej samej ścieżce, trudno więc było im się zorientować, czy ktoś specjalnie idzie za nimi.

Trafili z kolei na duży, wybrukowany plac. Tu odbywały się występy, o których mówił Rudi. Na trampolinie akrobaci wykonywali fantastyczne skoki. Poniżej, na ziemi dwaj klauni fikalikali koziołki. Podsuwali przechodzącym koszyczki, do których ci wrzucali monety.

Nieco dalej stała bardzo ładna dziewczyna w stroju ludowym, z ogromną wiązką balonów. Śpiewała piosenkę po angielsku. Słowa piosenki zachęcały do kupienia balonu i puszczania go w powietrze, by zaniósł życzenie do nieba. Wiele osób kupowało balony i istotnie puszczali je w powietrze. Czerwone, żółte i niebieskie kule unosiły się w górę, coraz dalej, aż wreszcie znikwały.

- Sfotografuj klaunów, Pete - powiedział Jupiter. - Ja zrobię zdjęcia akrobatom, a ty, Bob, rozejrzyj się dookoła. Może coś zwróci twoją uwagę.

- Dobra, Pierwszy - Pete poszedł w stronę koziółkujących klaunów.

Jupiter i Bob stanęli przed trampoliną. Jupe otworzył aparat fotograficzny i zaczął ustawiać obiektyw na akrobatów. Grzebał się przy nim długo, niby to mając jakieś problemy. W rzeczywistości uruchamiał walkie-talkie.

- Tutaj Pierwszy - powiedział cicho. - Czy mnie odbierasz?

- Głośno i wyraźnie - zamamrotał w aparacie głos Berta Younga.

- Jaka jest sytuacja?

- Zwiedzamy - odpowiedział Jupe. - Książę Djaro prosił nas o pomoc w znalezieniu srebrnego pająka Waranii. Został skradziony i umieszczono na jego miejscu imitację.

- Och! - wykrzyknął Bert Young. - To gorzej, niż myślałem. Czy możecie mu pomóc?

- Nie bardzo wiem jak - wyznał Jupe.

- Ja też nie. Ale starajcie się i miejcie oczy otwarte. Coś jeszcze?

- Jesteśmy teraz w parku, prawdopodobnie ktoś nas śledzi. Nie wiemy kto.

- Spróbujcie sprawdzić. Zgłoś się później, jak będziecie sami. Ktoś może nabrać podejrzeń, gdy będziemy zbyt długo rozmawiać.

Bert Young wyłączył się. Jupiter fotografował, a Bob tymczasem rozglądał się dookoła. Nie zauważył nic, a raczej nikogo, kto mógłby ich śledzić. Podeszedł klaun i Bob wrzucił kilka amerykańskich monet do jego koszyczka.

Klauni przyprowadzili pudła, który robił salta w powietrzu i stawał na przednich łapach. Tłum gapiów otoczył ich i dziewczyna z balonami została sama na uboczu.

- Teraz zrobimy jej zdjęcie - szepnął Jupiter.

Podeszli do niej w trójkę. Jupiter ustawiał aparat, na co dziewczyna uśmiechnęła się i zaczęła pozować. Jupiter pstryknął zdjęcie. Dziewczyna zbliżyła się do nich.



- Kupicie balony, amerykańscy dżentelmeni? - zapytała. - Pozwólcie im poszybować w chmury i zanieść wasze życzenia do nieba.

Pete wyłuskał z kieszeni banknot i podał jej. Wręczyła każdemu z nich balon i odwróciła się w poszukiwaniu reszty. Gdy pochylała się nad monetami, szepnęła niemal bezgłośnie:

- Ktoś chodzi za wami. Śledzą was. Mężczyzna i kobieta. Nie wyglądają niebezpiecznie. Wydaje mi się, że chcą porozmawiać z wami. Dajcie im sposobność. Idźcie na lody, tam przy stolikach.

Chłopcy wyrazili swe życzenia i wypuścili balony. Patrzyli za nimi, aż stały się maleńkimi kropkami na niebie. Potem wolno podeszli do stolików rozstawionych na trawie i przykrytych obrusami w czerwoną kratę. Usiedli przy jednym z nich. Natychmiast zjawił się wąsaty kelner.

- Lody? Może gorąca czekolada, sandwicze?

Przystali na wszystko, co proponował. Kelner odszedł, a chłopcy rozejrzeli się wokół. Bob zobaczył mężczyznę i kobietę kupujących balony i rozpoznał w nich parę, która tego rana stanęła za nimi przed portretem księcia Paula. Poczul z całą pewnością, że to przez nich byli śledzeni.

Podeszli z wolna i usiedli przy sąsiednim stoliku. Zamówili lody i kawę, po czym spojrzeli na chłopców i uśmiechnęli się.

- Czy jesteście Amerykanami? - zapytała kobieta.

- Tak, proszę pani - odpowiedział Jupiter. - Państwo też jesteście Amerykanami?

- Oczywiście - przytaknęła kobieta. - Z Kalifornii, tak jak wy. Jupe zeszywniał. Skąd wiedziała, że są z Kalifornii?

- Jesteście z Kalifornii, prawda? - powiedział szybko mężczyzna. - W każdym razie wasze koszulki są kalifornijskie.

- Tak - odpowiedział Jupiter - jesteśmy z Kalifornii. Dopiero wczoraj przyjechaliśmy.

- Widzieliśmy was rano na zamku, w sali pamiątek - odezwała się kobieta. - Mój Boże, czy to nie sam książę Djaro był z wami?

- Tak, oprowadzał nas - skinął głową Jupiter i zwrócił się do Boba i Pete'a. - Powinniśmy chyba umyć ręce, nim kelner przyniesie nasze jedzenie. Tam, za akrobatami widziałem tabliczkę "do toalet".

- Chcemy pójść do toalety - powiedział do pary przy sąsiednim stoliku. - Czy zechcielibyście państwo przypilnować w tym czasie naszych aparatów fotograficznych?

- Oczywiście, synku - zgodził się mężczyzna z szerokim uśmiechem. - Nie bójcie się, przypilnujemy, żeby ich nikt nie ukraść.

- Dziękuję panu - Jupiter wstał i ruszył w stronę toalet, nie dając swym towarzyszom szansy odezwania się. Chcąc nie chcąc pospieszyli za nim.

- Co to za pomysł, Jupe? - szepnął Pete, gdy się zrównali. - Dlaczego zostawiliśmy aparaty?

- Ciii! - syknął Jupe. - Mam pomysł. Zaufaj mi.

Gdy mijali dziewczynę z balonami, Jupiter powiedział do niej nie zatrzymując się.

- Obserwuj, proszę, tę parę. Powiedz nam, gdyby ruszali aparaty fotograficzne. Za chwilę wrócimy.

Skinęła głową w odpowiedzi. Detektywi szli niespiesznie, rozglądając się, jak na bez troskich turystów przystało.

Toaleta, umieszczona dyskretnie wśród drzew, była niewielkim kamiennym budynkiem. Wewnątrz nie było nikogo i Pete z miejsca wybuchnął:

- Co to za pomysł, Jupe?!

- Ci dwoje - powiedział Jupe odkręcając kran - będą zapewne rozmawiać. Może im się coś wymknąć.

- No to co? Co nam z tego przyjdzie? - zapytał Bob.

- Uruchomiłem magnetofon w moim aparacie - powiedział Jupe. - Jest bardzo czuły. Nagra wszystko, co powiedzą. Teraz już lepiej nie rozmawiajmy. Ktoś może podsłuchiwać.

Umyli ręce w milczeniu i wrócili spacerem do stolika. Dziewczyna z balonami potrząsnęła lekko głową, gdy ją mijali. A więc nic nie zaszło podczas ich nieobecności. Aparaty fotograficzne leżały, gdzie je zostawili, a mężczyzna i kobieta przy sąsiednim stoliku popijali kawę.

- Nikt nie próbował zabrać waszych aparatów - powiedział mężczyzna wesoło. - To uczciwy kraj. Kelner był już z waszym zamówieniem, ale powiedziałem mu, że musicie odejść na parę minut. O, już idzie.

Kelner taszczył załadowaną tacę. Postawił przed nimi lody, gorącą czekoladę i sandwicze. Rzucili się na to wszystko z apetytem.

Parę minut później para obok dopiła swą kawę. Wstali, pożegnali się i odeszli.

- Jeśli chcieli rozmawiać z nami, wyraźnie zmienili zamiar - zauważył Pete.

- Mam nadzieję, że rozmawiali ze sobą - powiedział Jupiter.

Nacisnął mały guzik w aparacie i taśma przewinęła się. Nacisnął inny i zaczęła odtwarzać. Z początku słyszeli tylko niewyraźny szum. Wtem odezwał się męski głos. Bob aż podskoczył podekscytowany.

- To działa! Tak jak się spodziewałeś, Jupe!

- Ciii! - przerwał mu Jupiter. - Słuchajmy, co powiedzieli. Nie przerywajcie jedzenia i nie patrzcie na aparat.

Cofnął taśmę i puścił ją ponownie, przyciszając dźwięk tak, żeby tylko oni mogli słyszeć. Wysłuchali z uwagą następującej rozmowy:

Mężczyzna: - Freddie wysłał nas tu po nic. Kaktus urośnie mi na dłoni, jeśli te dzieciaki są detektywami.

Kobieta: - Freddie rzadko się myli. Mówił, że to spryciarze. Sprawdził ich. Nazywają siebie Trzema Detektywami.

Mężczyzna: - Bawią się tylko! Nie powiesz mi, że kiedykolwiek coś wykryli. A jeśli, to przez czysty przypadek. Gdyby się mnie ktoś pytał, jak wygląda głupek, wskazałbym tego grubego chłopaka.

W tym momencie Bob i Pete z trudem powstrzymali się od chichotu. Jupe starał się zrobić na parze wrażenie głuptasa, ale ten komentarz to już było trochę za wiele.

Kobieta: - Tak czy inaczej, Freddie kazał ich śledzić i sprawdzić, czy się z kimś nie kontaktują. Uważa, że pracują dla CIA.

Mężczyzna: - Przecież nie wiedzą nic, o czym mogliby komukolwiek donieść. Szwendają się dookoła jak wszystkie dzieciaki. Niech ich ktoś inny śledzi.

Kobieta: - Nie masz więc zamiaru porozmawiać z nimi, żeby namówili księcia Djaro do współdziałania z księciem Stefanem?

Mężczyzna: - Nie, to nie jest dobry pomysł. Uważam, że jedynie to, co Freddie od początku zamierzał, jest rozsądne. Pozbyć się księcia i zrobić Stefana stałym regentem. Mamy Stefana w garści, więc faktycznie krajem będzie rządził syndykat nasz i Roberta.

Kobieta: - Lepiej mów ciszej. Ktoś może usłyszeć. Mężczyzna: - Nikogo nie ma w pobliżu. Mówię ci, Mabel, trafiła nam się okazja, o jakiej można było marzyć. Niech tylko to przejmujemy, księżę Stefan będzie figurantem, a my usamodzielnimy się kompletnie. Czy myślałaś kiedykolwiek, co można zrobić posiadając własne państwo?

Kobieta: - Hazard, jak mówiłeś. Możemy prześcignąć Monte Carlo. Mężczyzna: - Tak. Później możemy opanować banki. Są ludzie w Stanach, którzy chcą ukryć pieniądze przed rządem. Zaoferujemy im przywileje bankowe. Ale to tylko początek. Ustanowimy prawo o ekstradycji, inne kraje nie będą mogły aresztować przestępców, którzy tu zbiegną. Każdy poszukiwany gdziekolwiek dla jakichkolwiek powodów tu będzie bezpieczny... dopóty, dopóki będzie nam płacił haracz.

Kobieta: - Świetnie, ale co będzie jeśli księżę Stefan nie zechce zaakceptować naszych planów?

Mężczyzna: - Jeśli chce się utrzymać przy władzy, będzie musiał. Za dużo na niego mamy. Och, mówię ci, Warania to słodka, soczysta gruszka. Trzeba ją tylko zerwać.

Kobieta: - Cii! Wracają.

Taśma zamilkła. Jupiter przesunął niedbałym ruchem aparat fotograficzny i nieznacznie zatrzymał taśmę, po czym ją przewinął.

- Rany - jęknął Pete - to fatalnie, tak jak się Bert Young obawiał. Nawet gorzej. Oni planują obrócenie tego kraju w raj dla przestępców,

- Musimy powiedzieć o tym Bertowi Youngowi! - wykrzyknął Bob. Jupiter zmarszczył czoło.

- Powinniśmy. Chciałbym odtworzyć mu całą taśmę, ale to trwałoby zbyt długo. Podamy mu tylko najistotniejsze szczegóły.

Wziął aparat i udając, że zmienia w nim rolkę filmu, wcisnął odpowiedni klawisz.

- Pierwszy się zgłasza - powiedział cicho. - Czy mnie odbierasz?

- Głośno i wyraźnie - dobiegł go głos Berta Younga. - Nowy obrót wypadków?

Jupiter opowiedział mu, jak mógł najkrócej, co zaszło.

- Fatalnie - powiedział Bert Young, gdy Jupe skończył. - Mężczyzna i kobieta, których opisałeś, to chyba Max Grogan, hazardzista z Nevady i jego żona. Są w Stanach członkami przestępczego gangu. Freddie i Roberto, o których mówili, to pewnie Freddie "Palec" McGraw i Roberto Roulette, obaj hazardziści na wielką skalę. Cała ta sprawa jest dużo poważniejsza, niż nam się w ogóle śniło. Nie mniej, nie więcej, tylko próba przejęcia Waranii przez oszustów. Przy pierwszej sposobności musicie ostrzec księcia Djaru. Jutro przyjdźcie do ambasady. Pałac może nie być już dla was bezpiecznym miejscem. Spróbujemy pomóc księciu, ale musimy czekać, aż on nas o to poprosi. Spisaliście się, jak dotąd, doskonale. Nic lepszego nie mogliśmy sobie wymarzyć. Ale od tej chwili bądźcie ostrożni!

## Rozdział 6

### Wstrząsające odkrycie

Przez, resztę popołudnia Trzej Detektywi zwiedzali miasto. Wstąpili do kilku osobliwych starych sklepów i zwiedzili interesujące muzeum. Małym spacerowym stateczkiem odbyli rejs po rzece. Od czasu do czasu Rudi informował ich, że nadal są śledzeni. Teraz jednakże chodzili za nimi agenci warańskiej tajnej służby, najęci przez księcia Stefana.

- Być może tylko się wami opiekują - mówił ponuro Rudi - ale w to wątpię. Chciałbym wiedzieć, skąd się to bierze.

Chłopcy także chcieliby znać powód tego zainteresowania. Nie widzieli żadnej przyczyny, dla której mieliby rozbudzić ciekawość księcia Stefana. Nic dotąd nie działali, nic, co by mogło pomóc księciu Djaro.

Tu i ówdzie, na rogach ulic, zauważyli małe grupy muzykantów grających na różnych instrumentach.

- To bardowie - wyjaśnił Rudi. - Wszyscy są potomkami rodziny, która przed laty ukryła księcia Paula. Ja również do nich należę, choć mój ojciec był premierem, dopóki książę Stefan go nie usunął. Jesteśmy najbardziej wiernymi poddanymi księcia Djaro. Dzięki dekretowi księcia Paula, nie płacimy podatków.

Utworzyliśmy tajną partię, opozycyjną wobec księcia Stefana. Nazywa się Partią Bardów, w skrócie Bardowie. O jednym mogę was zapewnić - ludzie nie lubią księcia Stefana.

Ilekoć mijali grupę bardów, Rudi zwalniał, czekał aż jeden z muzykantów lekko skinie mu głową, po czym znowu ruszał przódzej.

- Ta gra jest dla dwóch osób - mrucał. - Obserwujemy tych, którzy nas obserwują. Zaopiekujemy się wami. Mamy swoich ludzi nawet w Książęcej Gwardii. Choć wiemy wiele,

nie rozumiemy, dlaczego uznali was za tak godnych uwagi. Podejrzewamy, że szykuje się jakiś spisek, a spisek księcia Stefana wróży coś bardzo przykrego.

Chłopcy zaabsorbowani dalszym zwiedzaniem miasta, powoli zapomnieli o śledzących. Przejechali się na wspaniałej karuzeli w parku. Zjedli obiad w restauracji na świeżym powietrzu, gdzie specjalnością były dania z ryb rzecznych.

Wrócili wreszcie do pałacu zmęczeni, ale w dobrych nastrojach i pełni wrażeń. Na ich spotkanie wybiegł szambelan książęcy, mały, okrągłutki człowieczek, odziany w purpurową szatę.

- Dobry wieczór, młodzieńcy - przywitał ich. - Książę Djaro wyraża żal, że nie może się z wami dzisiaj zobaczyć, ale jutro zje z wami śniadanie. Zaprowadzę was teraz do waszego pokoju. Obawiam się, że sami nie zdołacie trafić.

Powiodł ich oszłamiającą liczbą schodów i korytarzy, mijając po drodze licznych lokai. Gdy tylko znaleźli się na miejscu, wybiegł, jakby czekało na niego pilne zajęcie.

Zamknęli masywne dębowe drzwi i rozejrzeli się wokół. Pokój sprzątnięto, łoże pościelono, a ich torby podróżne stały, gdzie je zostawili. Bob stwierdził, że wielka pajęczyna była wciąż na miejscu, w kącie u wezglowia łóżka. Gdy podszedł, duży czarno-złoty pająk zbiegł z niej i ukrył się w szparze między podłogą a boazerią. Bob uśmiechnął się. Zdażył już przyjąć do wiadomości fakt, że w Waranii pająki są niemal święte. Doszedł do wniosku, że jeśli przyjrzeć im się z bliska, są nawet ładne.

- Nic nowego nie zaszło - powiedział Jupiter - ale myślę, że lepiej będzie skontaktować się z panem Youngiem. Może ma dla nas jakieś instrukcje. Pete, na wszelki wypadek zamknij drzwi na klucz.

Pete przekręcił klucz w zamku, a Jupe otworzył swój aparat fotograficzny i nacisnął klawisz.

- Pierwszy się zgłasza. Czy mnie odbierasz?

- Głośno i wyraźnie - napłynęła odpowiedź. - Coś nowego?

- Nic specjalnego - powiedział Jupiter. - Zwiedzaliśmy miasto przez resztę dnia i cały czas byliśmy śledzeni przez tajną służbę księcia Stefana.

- Niepokoić go - powiedział Bert Young z namysłem. - Czy rozmawialiście już z księciem Djaro? Jak przyjął nowiny?

- Nie widzieliśmy się z nim. Książęcy szambelan powiedział nam, że Djaro nie może spotkać się dziś z nami. Dopiero jutro rano.

- Hm... - głęboki namysł Berta Younga był niemal dotykalny. - Zastanawiam się, czy aby nie celowo trzymają go z dala od was. Jest niezmiernie ważne, żebyście mu donieśli, co wiecie. A teraz wyjmij taśmę z aparatu i trzymaj przy sobie. Musicie mi ją przynieść tutaj, do ambasady. Wyjdźcie jutro niby na dalsze zwiedzanie i każcie kierowcy, żeby was tu przywiózł. Zaczyna się robić gorąco, rozumiecie?

- Tak, proszę pana - odpowiedział Jupiter.

- Pracujemy tu nad tym, jak pomóc Djaro. Książę Stefan ma ścisłą kontrolę nad radiem i telewizją, nie możemy więc tą drogą dotrzeć do społeczeństwa. Coś jednak wymyślimy. A wy od jutra jesteście zwolnieni z obowiązków.

- Tak, proszę pana - powiedział Jupiter.

- Skończone, wyłączam się.

Nacisnął klawisz i otworzył spód aparatu. Wyjął stamtąd maleńką szpulkę taśmy i podał Pete'owi.

- Masz, Pete, ty to noś. Nie dopuść, żeby ci to ktoś odebrał.

- Pewnie - Pete schował taśmę do wewnętrznej kieszeni.

Tymczasem Bob grzebał w szufladzie wielkiej komody, w poszukiwaniu chusteczki do nosa. Znalazł chusteczki tam, gdzie je położył, gdy jednak wyciągał jedną z nich, usłyszał cichutki brzęk. Zaciekawiony, zaczął obmacywać szufladę w poszukiwaniu źródła dźwięku. Pod chusteczkami wymacał coś twardego, jakby metal. Wydobył to, spojrzął i zaczął krzyczeć.



- Jupe! Pete! Patrzcie.

Obrócili się ku niemu zdziwieni.

- Pająk! - wykrztusił Pete. - Rzuć to!

- Jest nieszkodliwy - powiedział Jupiter. - To pająk księcia Paula. Połóż go na podłodze, Bob.

- Nie rozumiecie! - krzyczał Bob. - To nie jest jakiś pająk. To ten pająk!

- Ten pająk? - powtórzył Pete. - O czym ty mówisz?

- O srebrnym pająku Waranii - odpowiedział Bob. - Pająk, który zginął ze skarbcza. To musi być on. Jest tak doskonały, że wygląda jak żywy. Nie, nie jest żywy. Jest z metalu, tak jak tamten, którego widzieliśmy rano, tylko ten jest doskonalszy.

Jupiter dotknął pająka na dłoni Boba.

- Masz rację. To arcydzieło. Musi być tym prawdziwym. Gdzieś ty to znalazł?

- Pod moimi chusteczkami do nosa. Ktoś go musiał tam ukryć. Rano z całą pewnością go nie było.

Jupiter zmarszczył czoło w głębokim namyśle.

- Po co by ktoś chował srebrnego pająka Waranii w naszym pokoju? - zastanawiał się głośno. - To nie ma sensu, chyba że ktoś zamierza oskarżyć nas o kradzież. W tym wypadku...

- Co robić, Jupe? - przerwał mu Pete, pełen niepokoju. - Przecież jak nas przyłapią z tym pająkiem, dostaniemy wyrok śmierci!

- Myślę... - zaczął Jupe, ale nie zdążył skończyć zdania. Z korytarza dobiegł ich odgłos ciężkich kroków. Ktoś zapukał głośno do drzwi i nacisnął klamkę. Gdy nie ustąpiła, krzyknął ze złością:

- W imieniu regenta otwórzcie drzwi! Otworzyć w imieniu prawa! Po chwili zaskoczenia Jupiter i Pete rzucili się do drzwi i zatrzasnęli wielką żelazną zasuwę.

Bob, zbyt zatrwożony, by myśleć jasno, stał bez ruchu, ze srebrnym pająkiem Waranii na dłoni, zastanawiając się mgliscie, co z nim zrobić.

## Rozdział 7

### Ucieczka

Walenie do drzwi nie ustawało i znowu ktoś krzyknął:

- W imieniu prawa i regenta rozkazuję otworzyć!

Pete i Jupiter oparli się o drzwi, jakby ich ciężar mógł je wzmocnić. Bob gapił się na pięknie emaliowanego srebrnego pająka i starał się zebrać rozbiegane dziko myśli. Musi schować pająka. Ale gdzie? Przebiegł pokój dookoła, rozglądając się za kryjówką i nie znajdując żadnej. Pod dywanem? Żle! Pod materacem? Też źle! Więc gdzie? Gdzie będzie nie do znalezienia?

Ciężkie uderzenia runęły na drzwi. Gwardziści je wyważali. Wtem nastąpiło coś jeszcze bardziej zaskakującego. Zasłony na oknie rozsunęły się i ktoś wpadł do pokoju. Pete i Jupiter zwrócili się błyskawicznie w tamtą stronę, by stawić czoła nowemu atakowi.

- To ja, Rudi! - zawołał głośnym szeptem przybysz. - I moja siostra Elena.

Oboje wsunęli się do pokoju. Elena była ubrana jak chłopiec, w spodnie i marynarkę.

- Chodźcie - powiedziała nagle - musicie uciekać. Chcą was zaarrestować za najwyższe wykroczenie przeciw państwu.

Miarowe uderzenia w drzwi nie ustawały. Ktoś wyraźnie walił w nie siekierą. Lecz drzwi były grube, dębowe i mogły się opierać przez kilka minut.

To było jak scena z filmu. Wszystko działo się tak szybko. Nie sposób było zachować spokój. Chłopcy wiedzieli tylko jedno; muszą się stąd wydostać.

- Chodź, Pete! - krzyczał Jupiter. - Bob, przynieś srebrnego pająka i chodźmy!

Bob zamarudził jeszcze chwilę, wreszcie biegiem przyłączył się do pozostałych. Za Elena wyszli wszyscy na balkon. Stłoczyli się na nim, otoczeni chłodnym mrokiem. W dole migotały światła miasta.

- Wokół budynku biegnie gzyms - powiedziała Elena. - Jest dość szeroki, żeby iść po nim, jeśli zapanujecie nad nerwami. Ja poprowadzę. Wspięła się nad balustradą balkonu i stanęła na gzymsie.

- Mój aparat! - przypomniał sobie Jupiter.

- Nie ma czasu! - naglił Rudi. - Drzwi wytrzymają jeszcze dwie, może trzy minuty. Nie możemy stracić ani jednej sekundy.

Jupe z niechęcią pozostawił swój aparat fotograficzny i przelazł przez balustradę za Pete'em. Twarzami do muru, przyciśnięci do szorstkich kamieni, posuwali się za Elena, która poruszała się zwinnie jak kot.

Nie było czasu na lęk. Z tyłu wciąż dobiegały donośne uderzenia w drzwi ich pokoju. Doszli już do narożnika pałacu. Uderzył w nich nocny wiatr i Bob zachwiał się, tracąc oparcie. Daleko, pod nim płynęła wartko ciemna rzeka Denzo. Rudi chwycił go za ramię i pomógł odzyskać równowagę. Bob zebrał się w sobie i ruszył za towarzyszami.

- Szybciej! - szepnął mu do ucha Rudi.

Dwa spłoszone gołębie zatrzepotały dziko skrzydłami i wzleciały nad ich głowy. Bob złapał równowagę i przeszedł za pozostałymi przez balustradę następnego balkonu. Cała piątka zatrzymała się na chwilę.

- Teraz musimy się wspinać - szepnęła Elena. - Mam nadzieję, że potraficie, to jedyna droga. Po tej linie. Ma supły. Tam jest druga lina. Zwiesza się na balkon poniżej, ale to tylko dla zmylenia tropu. Pomyślą, że uciekliśmy w dół.

Elena zaczęła się wspinać po linie zwieszającej się z góry. Za nią z łatwością Pete, potem wolniej Jupiter, mrużąc i sapiąc. Bob dał mu przewagę kilku metrów, po czym uchwycił szorstki węzeł kołyszącej się liny i wspiął się także.

Rudi zawrócił. Śmiało przeszedł z powrotem po gzymsie i wyjrzał zza narożnika budynku.

- Wciąż mocują się z drzwiami - zawołał cicho - musimy znaleźć się jak najprędzej w ukryciu.

- Co? - Bob zatrzymał się i odwrócił głowę w stronę Rudiego. Ręka obsunęła mu się przy tym z węzła, którego się trzymał. Lina prześliznęła mu się między palcami i zaczął spadać w tył, w ciemność. Runął na coś, co złagodziło jego upadek. Był to Rudi. Obaj zwalili się na balkon. Bob wyrznął głową w kamienną podłogę i fale czerwonych i żółtych światełek zawirowały mu w oczach.

- Bob! - Rudi pochylił się nad nim. - Bob, słyszysz mnie? Uderzyłeś się?

Bob otworzył oczy i zamrugał powiekami. Leżał na kamieniach i bolała go głowa. Kolorowe światełka zamigotały i odpłynęły. Zobaczył nad sobą pochyloną twarz Rudiego.

- Bob, czy coś ci się stało? - pytał Rudi z niepokojem.

- Moja głowa - powiedział Bob. - Boli, ale chyba wszystko jest w porządku.

Usiadł powoli i rozejrzał się wokół. Był na balkonie, tyle widział. Nad nim wznosił się masyw pałacu, pod nim była rzeka i dalekie światła Denzo.

- Co ja tu robię? - zapytał Rudiego. - Widziałem, jak wchodziłeś przez okno i wołałeś, żebyśmy uciekali, a teraz siedzę na balkonie z guzem na głowie. Co się stało?

- O, duchu księcia Paula, miej nas w swej opiece - jęknął Rudi. - Upadłeś i to cię otumanilo. Nie mamy czasu na rozmowy. Możesz się wspinać? Tu. Ta lina. Będziesz mógł wspiąć się po niej?

Wetknął linę w rękę Boba. Bob zacisnął na niej palce. O ile pamiętał, nigdy przedtem nie widział tej liny. Czuł się słaby i roztrzęsiony.

- Nie wiem - powiedział. - Spróbuję.

- To za mało. - Rudi ocenił stan Boba i podjął szybką decyzję. - Wciągniemy cię na górę. Stój spokojnie, owiążę cię liną pod ramionami. Owinął linę wokół piersi Boba i mocno zawiązał.

- Dobra! Ja wejdę na górę pierwszy, a potem ciebie wciągniemy. Ściana jest szorstka i ma pęknięcia. Może będziesz mógł trochę pomóc. Jeśli nie, tylko luźno zawieśnij. Nie upuścimy cię. Już idę! - zawołał do pozostałych na górze. - Coś się stało.

Zaczął się wdrapywać w górę, a Bob został, obmacując guza na głowie. Zastanawiał się, skąd się tu wziął. Musiał wraz z innymi pójść za Rudim, ale zupełnie sobie tego nie przypominał. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, był Rudi wchodzący przez okno i trzask siekier walących w drzwi ich pokoju.

Rudi był już na górze, wchodził przez okno do pokoju, w którym niespokojnie czekała pozostała trójka.

- Bob spadł - powiedział. - Jest w szoku. Musimy go wciągnąć. W czwórkę damy radę. Chodźcie, do roboty.

Uchwycili luźny koniec liny i zaczęli ją ciągnąć z wysiłkiem. Węzły na linie okazały się przeszkodą. Każdy z nich trzeba było przeciskać nad parapetem okna. Ale Bob nie był ciężki i w niedługim czasie ukazała się w oknie jego głowa, potem ramiona. Znalazł oparcie dla rąk i sam się wciągnął do środka.

- Jestem - powiedział, otrząsając z siebie linę. - Chyba wszystko okay. To znaczy, głowa mnie boli, ale mogę się poruszać. Tylko nie mogę sobie przypomnieć, jak się dostałem na ten balkon.

- To teraz bez znaczenia - powiedziała Elena.

- Jestem okay - powtórzył Bob.

Pokój, w którym się znajdowali, był wilgotny, zakurzony i pozbawiony mebli. Rudi i Elena podeszli na palcach do drzwi, uchylił je lekko i wyjrżeli na korytarz.

- Na razie droga wolna - oznajmił Rudi.

- Musimy wam znaleźć kryjówkę. Jak myślisz, Elena? Zaprowadzić ich do piwnicy?

- Chcesz powiedzieć do lochów! - odparta Elena. - Nie, nie sędzę. Lina, którą zostawiliśmy, spowoduje, że gwardziści będą nas szukać w dolnej części pałacu. Będą pewni, że tam uciekli Jupiter, Bob i Pete. Popatrz.

Podeszła do okna i wskazała w dół. Na widocznym stąd skrawku dziedzińca poruszały się światełka.

- Już posłali gwardzistów na dziedziniec - mówiła. - Moim zdaniem powinniśmy iść do góry, na dach. Później, może jutro w nocy, postaramy się przemycić ich do lochów i poprzez kanały do miasta. Stamtąd będą mogli zbiec do ambasady amerykańskiej.

- Dobry pomysł - przyznał Rudi. - Idziemy na górę, chłopcy. Ta część pałacu nie jest zamieszkana i jeśli nasz wybieg się udał, nie będą jej przeszukiwać. Daj mi twoją chusteczkę, Jupe.

Wyjął z kieszonki marynarki Jupitera białą chusteczkę z monogramem "J.J."

- Upuścimy ją później dla dalszego zmylenia tropu. A teraz, za mną. Elena, ty osłaniaj tyły.

Owinął linę wokół pasa i pierwszy wyszedł na korytarz. Szli szybko i cicho, nie oświetlonym korytarzem, potem schodami do położonej wyżej, ciemnej jak noc sali. Posługując się ręczną latarką Rudi odnalazł niewidoczne w ciemnościach drzwi. Otworzyły się z głośnym piskiem zawiasów, co przeraziło ich wszystkich. Ale hałas nie zaalarmował nikogo. Wyraźnie nikogo, oprócz nich, nie było na ostatnim piętrze pałacu.

Przemknęli się jak duchy przez drzwi i w górę po wąskich kamiennych stopniach. Tu, następne drzwi otwierały się na szeroki dach. Znaleźli się pod wygwieżdżonym niebem. Dach otoczony był kamiennym murem, pociętym w równych odstępach otworami.

- Przez te otwory wystrzeliwano strzały lub wylewano wrzący olej - wyjaśnił Rudi. - Dach służył też jako punkt obserwacyjny. Dlatego w każdym rogu wzniesiono wartownię. Chodźmy.

Przeszedł dach w poprzek, kierując się w stronę małej, kwadratowej budki z kamienia. Jej drewniane drzwi otworzyły się z pewnym oporem. W świetle latarki Rudiego ukazało się zakurzone wnętrze. Stały tam cztery drewniane ławy, dostatecznie szerokie, by służyć jako prycze. Wąskie okna nie były oszklone.

- Niegdyś w każdej z tych wieżyczek trzymano wartę - powiedział Rudi. - Ale te czasy dawno minęły. Przeczekacie tu bezpiecznie, póki po was nie wrócimy. Prawdopodobnie uda się nam to dopiero jutro wieczór.

Jupiter opadł na ławę.

- Cieszę się bardzo, że na dworze jest ciepło, tym niemniej chciałbym wiedzieć, o co właściwie chodzi.

- Chodzi o jakiś spisek - odpowiedziała Elena. - Mielicie zostać zaarrestowani za kradzież królewskiego srebrnego pająka i to miało być wykorzystane w taki sposób, by zmusić Djaro do ustąpienia z tronu. Tyle wiemy. Ale to oczywisty nonsens. Nawet gdybyście chcieli, nie moglibyście ukraść srebrnego pająka.

- Nie - powiedział Jupiter z namysłem - nie moglibyśmy. A jednak go mamy. Pokaż im, Bob.

Bob włożył rękę do kieszeni marynarki. Potem do drugiej. Coraz bardziej zaniepokojony przeszukał wszystkie kieszenie. W końcu powiedział zdławionym głosem:

- Przykro mi, Jupe, ale nie mam pająka. Musiałem go zgubić w całym tym zamieszaniu.



## Rozdział 8

### Utrata pamięci

- Miałeś srebrnego pająka i zgubiłeś go? - Rudi patrzył na Boba ze zgrozą.

- To straszne - powiedziała Elena. - Jak w ogóle doszło do tego?

Jupiter opowiedział, jak Djaro wyznał im, co stało się ze srebrnym pająkiem, a następnie zaprowadził ich do skarbcza i pokazał imitację klejnotu. Powiedział też o podejrzeniach Djaro, że to książę Stefan zabrał prawdziwego pająka, by uniemożliwić koronację. Bob zaś opowiedział o znalezieniu autentyku wśród swych chusteczek.

- Zaczynam rozumieć, na czym polega ten spisek - wyszeptał Rudi. - Książę Stefan ukrył pająka w waszym pokoju, a następnie posłał do was gwardzistów. Zgodnie z planem mieli znaleźć pająka w waszym pokoju i was aresztować. Potem książę Stefan ogłosiłby, że ukradliście klejnot, a książę Djaro umożliwił wam to swą nierozważą. Djaro zostałby okryty hańbą, was wydalono by z kraju i zerwano by wszelkie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Książę Stefan rządziłby nadal jako regent. I w końcu, skoro Djaro byłby ciągle w niełasce, książę Stefan znalazłby jakiś pretekst, by przejąć i zatrzymać władzę. Co gorsza, może dalej realizować swój plan, bo srebrny pająk przepadł. Nawet jeśli zdołamy przetrzymać was bezpiecznie do ambasady amerykańskiej, oskarży was o kradzież i ukrycie pająka.

Pete kręcił głową pełen wątpliwości.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego ten srebrny pająk jest tak ważny. Przypuśćmy, że zaginęłby w pożarze czy innej katastrofie, co wtedy?

- Wtedy - odpowiedziała Elena - cały kraj pogrążyłby się w żałobie, ale nikt nie mógłby obwinić księcia Djaro. Doprawdy trudno wytłumaczyć, czym jest dla nas pająk księcia Paula. To nie jest po prostu klejnot. To symbol. Uosabia wszystko, co najbardziej cenimy, a więc naszą wolność, niepodległość i pomyślność.

- Może jesteśmy zabobonni - dodał Rudi - ale z pajakiem łączy się legenda. W czasie swej koronacji książę Paul miał powiedzieć, że tak jak pająk uratował go i umożliwił danie wolności narodowi, tak my musimy dbać o bezpieczeństwo pająka. Jak długo będzie bezpieczny, tak długo w Waranii będzie panowała wolność i pomyślność. Być może wcale nie wypowiedział tych słów, ale każdy Warańczyk wierzy, że to miało miejsce. Utrata pająka stałaby się tragedią narodową. A jeśli uczyni się Djaro, nawet pośrednio, odpowiedzialnym za tę stratę, obywatele obrócą się przeciw niemu. Tak jak go teraz kochają, tak zaczną nim gardzić.

Rudi zamilkł i po dłuższej chwili ciągnął dalej:

- Jeśli nie zdołamy odzyskać dla księcia Djaro srebrnego pająka, książę Stefan zwycięży.

- Ojej, to fatalnie - jęknął Bob. - Czekaście, pomóżcie mi jeszcze raz go poszukać, może się gdzieś zapodział.

Tym razem Pete i Jupiter przeszukali kieszenie Boba. Przewrócili każdą na lewą stronę, zajrzeli do mankietów spodni, ale cały czas zdawali sobie sprawę, że to beznadziejne. Bob nie miał pająka.

- Myśl, Bob! - mówił Jupiter nagłaco. - Miałeś go w ręce. Co z nim zrobiłeś?

Bob zmarszczył czoło, natężając pamięć.

- Nie wiem. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to walenie do drzwi i widok Rudiego, wchodzącego przez okno do pokoju. Potem pustka aż do momentu, gdy leżałem na balkonie i Rudi pochylał się nade mną.

- Częściowa amnezja - stwierdził Jupiter, szczypiąc wargę. - To naturalna rzecz, gdy oberwie się w głowę. Czasem zapomina się kilka ostatnich dni czy nawet tygodni, czasem tylko kilka ostatnich minut. To wyraźnie nastąpiło w wypadku Boba. Kiedy wyrznął głową w balkon, stracił pamięć o ostatnich trzech lub czterech minutach. Zazwyczaj taka pamięć wraca, ale nie zawsze.

- Tak, to na pewno to - westchnął Bob, obmacując guza na głowie. - Przypominam sobie mgliście, że biegałem po pokoju w poszukiwaniu dobrej kryjówki dla pająka. Byłem

bardzo zdenerwowany, ale pamiętam, że pomyślałem, że na nic się zda ukrycie go pod dywanem, materacem lub w szafie, bo znajdą go tam natychmiast.

- Zupełnie naturalne byłoby, gdybyś go na mój widok schował do kieszeni - odezwał się Rudi. - Wtedy mógł się wysliznąć, gdy spadłeś z liny.

- Równie dobrze mogłem go wciąż trzymać w ręce, gdy opuszczaliśmy pokój - powiedział Bob z nieszczęśliwą miną. - Potem jak szedłem po gzymsie, mogłem odruchowo otworzyć dłoń i go upuścić. Może upadł na gzyms, a może w dół na dziedziniec.

Zapadło milczenie.

- Jeśli spadł na dziedziniec - odezwał się wreszcie Rudi - znajdą go, a wtedy dowiemy się o tym. Jeśli nie znajdą...

Spojrzał na Elenę. Kiwnęła głową.

- Ludzie księcia Stefana nie przeszukają nawet waszego pokoju - powiedziała. - Pomyślą, że macie pajaka ze sobą. Jeśli więc nie znajdą go na dziedzińcu, jutrzejszej nocy musimy wrócić i postarać się go znaleźć.

## **Rozdział 9**

### **W wartowni**

Trzej Detektywi spędzili długą noc w swej kryjówce na dachu. Nikt nie przeszukiwał tej części pałacu. Uznano za oczywiste, że zbiegli w dół. Przemyślnie zwieszona lina i chusteczka Jupitera, znaleziona przy zejściu do piwnicy, skierowała pościg na mylny trop.

Po odejściu Rudiego i Eleny, Pete, Bob i Jupiter wyciągnęli się na drewnianych ławach. Mimo niewygodnego legowiska i wieczornych emocji, zapadli w sen i spali doskonale.

Pete obudził się wraz ze wschodem słońca, ziewnął i przeciągnął się. Jupiter już nie spał. Gimnastykował się, by rozprostować zeszywniałe mięśnie. Pete odszukał swoje buty, włożył je i wstał. Bob spał ciągle głęboko.

- Zdaje się, że mamy ładny dzień - powiedział Pete, wyglądając przez szparę wąskiego okna wartowni. - Ale chyba nie zanoszą się na to, żebyśmy dostali jakieś śniadanie. Albo obiad czy kolację. Czuję się o wiele lepiej, gdybym wiedział, kiedy coś zjem.

- Ja czuję się o wiele lepiej, gdybym wiedział, jak się stąd wydostaniemy - odparł Jupiter. - Zastanawiam się, co planuje Rudi.

- A ja się zastanawiam, czy po obudzeniu Bob będzie pamiętał, co zrobił ze srebrnym pajakiem.

W tym momencie Bob usiadł i zamrugał powiekami.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał i dotknął tyłu głowy. - Oj, boli. Teraz pamiętam.

- Pamiętasz, co zrobiłeś ze srebrnym pajakiem?! - Pete rzucił się w jego stronę.

Bob potrząsnął głową.

- Pamiętam, gdzie jesteśmy i jak nabiłem sobie guza. To znaczy pamiętam, coście powiedzieli o tym, jak się to stało. To wszystko.

- Nie zaprzataj sobie teraz tym głowy - powiedział Jupiter. - Trzeba poczekać. Może pamięć sama ci wróci.

- Och! - wykrzyknął stojący przy oknie Pete. - Ktoś wychodzi na dach. Patrzy w tę stronę.

Wszyscy trzej stłoczyli się przy oknie. W drzwiach wiodących na dach stał dziwnie przygarbiony mężczyzna w workowatym, szarym ubraniu i wielkim fartuchu. Niósł miotłę, kubel i szmatę. Rozejrzał się ukradkiem, odłożył swój ekwipunek i przemknął się do wartowni.

- Wpuść go, Pete - powiedział Jupe. - To nie jest gwardzista i najwyraźniej wie, że tu jesteśmy.

Pete odblokował drzwi. Mężczyzna wśliznął się do środka i odetchnął z ulgą.

- Czekaście - powiedział po angielsku, z obcym akcentem - upewnijmy się, że nikt nie szedł za mną.

Obserwowali dach przez kilka minut, nikt jednak się nie zjawił. Wtedy wszyscy się odprężyli.

- Dobrze - powiedział mężczyzna. - Jestem sprzątaczem. Przekradłem się tu na górę. Mam wiadomość od Rudiego. Pyta, czy ktoś o imieniu Bob pamięta.

- Powiedz mu, że nie - odrzekł Jupiter. - Bob nie pamięta.

- Powiem. Rudi prosił, żebyście byli cierpliwi. Kiedy już będzie zupełnie ciemno, przyjdzie. Tymczasem tu macie jedzenie.

Sięgnął do kieszeni swego przepastnego fartucha i wydobył kanapki, trochę owoców i plastikowy pojemnik z wodą.

Chłopcy ochoczo odebrali od niego prowiant. Mężczyzna nie zwlekał dłużej.

- Muszę spieszyc z powrotem. Wielkie poruszenie na dole. Bądźcie cierpliwi i niechaj księżę Paul ma w opiece was i naszego księcia - powiedział i odszedł spieszenie.

Pete łakomie zabrał się do kanapki.

- Musimy racjonować jedzenie, żeby nam starczyło na cały dzień - zauważył Jupe, podając kanapkę Bobowi.

- Zwłaszcza wodę. Co za szczęście, że Rudi i Elena mają przyjaciół w pałacu.

- To nasze szczęście - powiedział Bob.

- Co to Rudi mówił wczoraj o organizacji bardów, wspierającej księcia Djaro? Głowa mnie tak bolała, że nie słuchałem uważnie.

- Część już wiesz - odparł Jupiter między jednym kęsem a drugim. - Ale ci powtórzę. Ojciec Rudiego i Eleny był premierem rządu ojca Djaro i jest potomkiem owej rodziny

bardów, która ocaliła księcia Paula. Kiedy księżę Stefan został regentem, zmuszono ojca Rudiego do przejścia na emeryturę. Miał wiele podejrzeń co do osoby księcia Stefana i zaczął tworzyć tajną organizację, skupiającą wszystkich ludzi lojalnych wobec księcia Djaro. Zadaniem ich jest śledzenie poczynań księcia Stefana, nazywają się Partią Bardów. Partia ma swych ludzi nawet wśród straży przybocznej i oficerów. Zapewne służący, który przyniósł nam jedzenie, jest jednym z nich. Zeszłego wieczoru Bardowie, należący do załogi pałacu, dowiedzieli się o planach aresztowania nas i donieśli o tym ojcu Rudiego. Rudi i Elena przystąpili natychmiast do akcji i na czas przybyli nam z pomocą. Jak pamiętasz, jako dzieci oboje mieszkali w pałacu i poznali go od piwnic po dach. Znają tajemne przejścia, tunele i kanały, o których nikt inny nie wie. Tak więc mogą wchodzić do pałacu i wychodzić nie zauważeni. Pamiętasz? Djaro mówił nam, że pałac zbudowano na ruinach starego zamku.

- Wszystko pięknie - przerwał Pete - ale na razie tkwimy na szczycie pałacu. Myślisz, że Rudi i Elena naprawdę będą w stanie nas stąd wyprowadzić w nocy? Jeśli oczywiście nikt nas tu wcześniej nie przyłapie.

- Rudi i Elena wierzą, że im się uda. Myślę, że wciągną w to jeszcze kilku Bardów. Musimy się stąd wydostać. Trzeba dostarczyć do ambasady amerykańskiej taśmę, którą ci dałem. To ważny dowód rzeczowy.

- Czułbym się o wiele lepiej, gdybym był Jamesem Bondem - mruknął Pete. - On znajduje wyjście z każdej sytuacji. Ale nie jestem nim i ty też nie. Mam dziwne uczucie, że to wszystko nie pójdzie tak gładko, jak się Rudiemu zdaje.

- Musimy robić, co w naszej mocy - powiedział Jupe. - Żeby pomóc Djaro, a w końcu po to tu przyjechaliśmy, trzeba się najpierw stąd wydostać. Na razie nie możemy zrobić nic, dopóki znowu nie otrzymamy wiadomości od Rudiego i Eleny. A tak na marginesie, Drugi, czy wiesz, że już zjadłeś śniadanie i jesteś w połowie obiadu?

Pete szybko odłożył kanapkę, którą właśnie zamierzał ugryźć.

- Dzięki, że mi przypomniałeś. Nie znoszę być bez obiadu. Zapowiada się długi dzień.

Istotnie, to był długi dzień. Na zmianę trzymali wartę przy oknie i drzemali. Wreszcie słońce, niczym purpurowa kula, zaczęło chować się za kopułą kościoła Świętego Dominika. Ptaki świergotały jeszcze sennie wśród zieleni Denzo, w końcu umilkły. Z nastaniem zmroku

zaległa cisza. Wszyscy w pałacu zdawali się uśpieni, z wyjątkiem strażników pełniących sennie wartę. Od tak dawna nie zaszło w Waranii nic alarmującego, że mimo specjalnych rozkazów, trudno im było wykrzesać czujność.

Tymczasem w mrokach przepastnych piwnic pałacu dwie postacie przemykały się bezszelestnie poprzez sekretne, tylko im znane przejścia. Powoli Rudi i Elena osiągnęli wyższe kondygnacje. Na pewnej klatce schodowej, której nie mogli uniknąć, dopomógł im strażnik, który odwrócił się tyłem i udawał, że ich nie widzi.

Wychynęli wreszcie w nocną ciszę na dachu pałacu. Przystanęli, by upewnić się, że nikt nie szedł za nimi, po czym przemknęli do wartowni tak bezgłośnie, że zaskoczyli pełniącego wartę Pete'a. Wpuścił ich do środka i Rudi zaryzykował zapalenie ocienionej chustką latarki.

- Jesteśmy gotowi - powiedział Rudi. - Wydostaniemy was stąd i pomożemy zbiec do ambasady amerykańskiej. Chodzą słuchy, że książę Stefan przyspiesza realizację swoich planów. Przypuszczamy, że zamierza jutro odwołać koronację księcia Djaro i ogłosić siebie regentem na czas nieokreślony. Niestety nie możemy zrobić nic, żeby go powstrzymać. Gdyby ludzie poznali prawdę, ruszyliby na zamek i uratowali księcia Djaro. Ale nie mamy sposobu powiadomienia społeczeństwa, że książę jest w niebezpieczeństwie. Myśleliśmy o przejęciu radia i telewizji, książę Stefan jest jednak zbyt przebiegły. Budynek radia i telewizji jest bardzo uważnie strzeżony.

A co ze srebrnym pajakiem? Czy przypomniałeś sobie, Bob, co z nim zrobiłeś? Na dziedzińcu go nie znaleziono.

Bob potrząsnął tylko głową. Czuł się okropnie.

- Czy gdybyśmy mieli pajaka, pomogłoby to cokolwiek księciu Djaro? - zapytał Jupiter.

- Mogłoby pomóc - odpowiedziała Elena. - Bardziej mogliby wydać odezwę do społeczeństwa w imieniu księcia Djaro, z wezwaniem o pomoc w obaleniu tyrana, czyli księcia Stefana. Srebrny pajak byłby gwarancją, że istotnie działamy na rzecz księcia Djaro. Miałoby to ogromne znaczenie i zapewne odwróciłoby bieg wydarzeń, mimo że prawdopodobnie aresztowano by nas natychmiast.

- A więc musimy odzyskać srebrnego pająka - powiedział Jupiter.

- Proponuję odbyć na niego łowy, nim opuścimy pałac. Może znajdziemy go tam, gdzie Bob go upuścił. Wzdłuż gzymsu lub w naszym pokoju.

- Znalezienie pająka bardzo by pomogło - odezwał się Rudi - ale to ogromnie niebezpieczne. Chociaż, z drugiej strony, wasz pokój to ostatnie miejsce, gdzie ktokolwiek spodziewałby się was zastać. Zaryzykujmy więc.



## Rozdział 10

### Niebezpieczne łowy

Opuszczali wartownię z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Pozbierali papiery z kanapek i wetknęli je w kieszenie, by nie zostawić żadnych śladów. Czekali, aż wszyscy w pałacu ułożą się do snu.

- Czekaliśmy dość długo - zerwał się wreszcie Rudi. - Mam tu jeszcze dwie małe latarki. Jedną weź ty, Jupiter, drugą Pete. Używajcie ich tylko w razie konieczności. Pójdę pierwszy, Elena na końcu. W drogę.

Jedno za drugim ruszyli przez dach. Niebo, zaciągnięte ciężkimi chmurami, było czarne. Zaczęły padać wielkie krople deszczu.

Zeszli ostrożnie po wąskich schodach, zatrzymując się i nasłuchując. Panowała cisza. Posuwali się niemal po omacku, wiedzeni słabą poświatą latarki Rudiego, która zapalała się i gasła jak robaczek świętojański.

Przeszli wzdłuż korytarza, następnymi schodami w dół i znowu innym korytarzem. Chłopcy czuli się zupełnie zagubieni, lecz Rudi dobrze znał drogę. Zaprowadził ich do jakiegoś pokoju i zaryglował drzwi.

- Tu możemy chwilę odpocząć - powiedział. - Jak dotąd poszło dobrze, ale to była najłatwiejsza część zadania. Odtąd będzie niebezpiecznie. Co prawda nie sądzę, by szukali was nadal w pałacu, ale możemy wpaść na nich niespodzianie. A więc najpierw łowy na pająka, a potem, nawet jeśli go nie znajdziemy, musimy przedostać się do piwnic. Stamtąd do lochów i wreszcie do kanałów. Dalszą drogę odbędziemy kanałami i tę część przeprawy zaplanowaliśmy już z Elena. Wyjdziemy z kanałów w pobliżu ambasady amerykańskiej. Gdy już się tam bezpiecznie schronicie, Bardowie rozkleją po mieście afisze, głoszące, że księżę Djaro jest w niebezpieczeństwie, gdyż księżę Stefan uzurpuje sobie prawo do tronu. A potem... potem kto wie, co się stanie. Możemy tylko żywić nadzieje. Mam ze sobą linę.

Zejdziemy po niej przez okno na balkon. Elena ma drugą linę, która w razie czego może się przydać.

Umocował linę, przerzucił ją przez okno i pierwszy zsunął się po niej. Gdy dał im znak, że jest już na balkonie, ruszył Pete i Jupiter.

Bob i Elena zostali przy oknie wpatrując się w ciemność poniżej. Widzieli tańczące po balkonie światełko latarki. Zapewne tamci szukali pająka. Mógł przecież wypaść Bobowi z kieszeni przy upadku. Wreszcie latarka zgasła.

- Chodźcie na dół - szepnął Rudi.

Bob i Elena zsunęli się po linie i zostawili ją zwieszoną, by móc po niej wrócić. Stłoczyli się ciasno na balkonie, wśród zupełnych ciemności.

- Tu pająka nie ma - szepnął Rudi. - Mogło się zdarzyć, że się ześliznął w dół, do rzeki, ale w to wątpię. Moim zdaniem Bob upuścił go, gdy wybiegał na balkon z waszego pokoju.

Rozpoczęli wędrówkę po gzymsie. Miał zaokrągloną krawędź i każdy nieostrożny krok mógł ich posłać do płynącej w dole cichej i czarnej rzeki. Uczepieni ściany posuwali się ostrożnie naprzód. Rudi zatrzymywał się co parę kroków i omiatał światłem latarki gzyms przed sobą. Pająka jednak nie było i z pustymi rękami dotarli do balkonu pokoju chłopców.

Rudi sprawdził najpierw ostrożnie, czy pokój jest pusty. Następnie Elena i chłopcy przycupnęli na balustradzie, a Rudi przebadał przy świetle latarki każdy centymetr balkonu.

- Nie. Tu również nie ma pająka.

- Co teraz robimy? - zapytał szeptem Pete.

- Idziemy do środka - odpowiedział spieszenie Jupiter. - Trzeba przeszukać pokój.

Jedno za drugim rozeszli się cicho do pokoju i stanęli nasłuchując. Cisza była tak głęboka, jakby cały pałac wstrzymywał oddech. Zakłócało ją jedynie cykanie świerszcza.

- Świerszcz w pokoju zwiastuje szczęście, jak mi się zdaje - szepnął Pete. - Nam by się ono przydało.

- Mówiłeś, Bob, że biegałeś po pokoju ze srebrnym pajakiem w ręce - powiedziała cicho Elena. - Mogłeś go gdzieś upuścić. Musimy przeszukać cały pokój. Przejdziemy go na kolanach i zapalimy tylko nasze latarki. Nie możemy ryzykować, żeby zobaczyli światło z zewnątrz.

Podzielili pokój między siebie i każde zaczęło na czworakach przeszukiwać swoją część. Bob nie miał latarki, szukał więc pająka wraz z Jupe'em. Wtem coś zalśniło w świetle latarki. Znaleźli!

Bob podniósł błyszczący przedmiot i ogarnęło go tak silne rozczarowanie, że poczuł w ustach jego gorzki smak. Był to tylko kawałek folii aluminiowej z opakowania rolki filmu.

Po tym fałszywym alarmie, wrócili do dalszych poszukiwań. Bob wczołgał się nawet pod łóżko. Jupiter poświecił mu tam latarką i wtedy malutkie, ciemne stworzenie skoczyło w popłochu.

- Krik! - zacykało. - Krik!

Wystraszyli świerszcza. Jupe skierował na niego światło latarki. Zobaczyli, że skoczył wprost w pajęczynę, wciąż rozpiętą w rogu.

Świerszcz desperacko starał się wydostać z pajęczyny, ale tylko zaplątywał się w niej bardziej. Dwa pająki obserwowały go ze szpary między podłogą a boazerią. Wtem jeden z nich wybiegł, prześliznął się po pajęczynie i zaczął otaczać świerszcza lepką nicią. Po chwili więzień był bezsilny.

Bob powstrzymał się od chęci uwolnienia świerszcza. Łączyłoby się to ze zniszczeniem pajęczyny, może nawet musiałyby zabić pająka, a przecież był to w Waranii symbol powodzenia.

- Mówiłeś, że świerszcz w pokoju to szczęście - szepnął do Jupe'a. - Wyraźnie nie dla niego. Miejmy tylko nadzieję, że nie podzielimy jego losu.

Jupiter milczał. Obaj wyczołgali się spod łóżka i dołączyli do reszty. Zebrali się przy szafie, którą przeszukiwali Rudi i Pete.

- Może Bob w końcu schował gdzieś srebrnego pająka - szepnął Jupiter. - Gdyby go po prostu upuścił, już byśmy go znaleźli. Chyba że gwardziści go znaleźli wczoraj.

- Nie, nie znaleźli - odpowiedział cicho Rudi. - Księżę Stefan jest wściekły. Promieniałby, gdyby miał pająka. Więc chyba Bob go schował. Może chociaż pamiętasz, Bob, czy go schowałeś?

Bob pokręcił głową przecząco. Nie mógł sobie przypomnieć niczego, co dotyczyło srebrnego pająka.

- No cóż, będziemy szukać - powiedział Rudi. - Przetrzęsniemy walizki. Elena, sprawdź pod materacem i pod poduszkami. Bob mógł go tam wetknąć, jeśli nie znalazł lepszego miejsca.

Pete i Jupiter przeszukali walizki, Elena łóżko. Wciąż bez rezultatu.

- Nie ma go tu - powiedział Rudi, gdy zebrali się bezradnie na środku pokoju. - Myśmy go nie znaleźli, gwardziści go nie znaleźli, przepadł. Obawiam się, że Bob wybiegł z nim na balkon i wypuścił go, gdy wdrapywał się na gzyms. Nie rozumiem tylko, dlaczego go nie znaleziono na dziedzińcu.

- Co powinniśmy teraz zrobić, Rudi? - zapytał Jupiter. Zazwyczaj Jupe przewodził w ich poczynaniach, teraz jednak ustąpił miejsca Rudiemu. Był starszy i dobrze znał teren.

- Wszystko, co możemy zrobić, to zaprowadzić was w bezpieczne miejsce - szepnął Rudi. - Wracamy.

W tym momencie drzwi otworzyły się na oścież i pokój zalało światło, Dwaj mężczyźni w szkarłatnych mundurach straży pałacowej wbiegli do środka.

- Stać! - krzyczeli. - Jesteście aresztowani! Złapaliśmy amerykańskich szpiegów!

W pokoju zakotłowało się. Rudi rzucił się na gwardzistów.

- Elena! - wrzasnął. - Zabierz ich stąd! Mnie zostawcie!

- Chodźcie! - zawołała Elena, pędząc ku drzwiom balkonowym. - Za mną!

Bob nie mógł się przedostać do drzwi balkonowych. Kiedy Rudi rzucił się na jednego z gwardzistów z zamiarem zwalenia go z nóg, drugi chwycił za kołnierz Jupitera. Obie walczące pary upadły na podłogę, a Bob znalazł się między nimi. Ciężkie ciała mocujących się ścięły go z nóg i przygniotły. Padając, ponownie wyrzwał głową o podłogę. Dywan złagodził upadek, ale uderzenie w głowę było mocne. Bob po raz drugi stracił przytomność.

## Rozdział 11

### Tajemniczy Anton

Bob leżał z zamkniętymi oczami i przysłuchiwał się rozmowie Jupitera z Rudim.

- No i daliśmy się złapać niczym świerszcz w pajęczynę - mówił ponuro Jupe. - Do głowy mi nie przyszło, że wciąż będą trzymać straż pod naszym pokojem.

- Ani mnie - powiedział równie ponuro Rudi. - Myślałem, że skoro pokój był pusty, zaniechają pilnowania go. Dobrze, że chociaż Pete i Elena się wydostali.

- Czy mogą coś zdziałać? - zapytał Jupe.

- Nie wiem. Może nic, poza doniesieniem memu ojcu i innym, co się z nami stało. Wątpliwe, czy ojcu uda się nas wyratować, ale chociaż sam zdoła się ukryć. Księżę Stefan będzie się mścił.

- Ma w garści nas i Djaro - mruknął Jupiter. - Przyjechaliśmy tu, żeby pomóc księciu, a skończyło się kompletną klapą.

- Klapą? Nie rozumiem tego słowa.

- Plajta. Niepowodzenie - wyjaśnił Jupiter. - Patrz, chyba Bob się ocknął. Biedna Dokumentacja, ma teraz dwa guzy.

Bob otworzył oczy. Leżał pod kocem na wąskiej pryczy. Zmrużył oczy, porażone przydymionym światłem. Powoli odzyskiwał jasność widzenia i objął wzrokiem migocącą świecę, kamienną ścianę obok i kamienny sufit. Zobaczył po drugiej stronie izby masywne drzwi z małym wizjerem. Jupe i Rudi pochylili się nad nim. Usiadł. Głowa pękała mu z bólu.

- Jak się następnym razem wybiorę do Waranii, założę kask futbolowy - powiedział, starając się uśmiechnąć.

- Dobrze, grunt że jesteś zdrow i cały! - ucieszył się Rudi.

- Bob, czy pamiętasz? - zapytał Jupiter nagle. - Myśl intensywnie.

- Pewnie, że pamiętam - odpowiedział Bob. - Gwardziści wpadli do pokoju, ty i Rudi mocowaliście się z nimi, a ja przewróciłem się i rąbnąłem się w głowę. Do tego momentu pamiętam. A teraz jesteśmy pewnie w jakimś więzieniu.

- Nie to miałem na myśli - powiedział Jupiter. - Czy pamiętasz, co zrobiłeś ze srebrnym pajakiem? Czasami, gdy jedno uderzenie w głowę wywołuje amnezję, drugie przywraca pamięć.

- Nie - Bob potrząsnął głową - wciąż pustka.

- Może to i dobrze - powiedział gorzko Rudi. - Przynajmniej książę Stefan nie może cię zmusić do mówienia.

W tym momencie w zamku zazgrzytał klucz. Ciężkie drzwi otworzyły się i dwaj mężczyźni w mundurach gwardii książęcej weszli do celi. Każdy z nich miał w jednej ręce silną latarnię elektryczną, w drugiej miecz.

- Chodźcie - odezwał się burkliwie jeden z nich. - Książę Stefan kazał was doprowadzić do pokoju przesłuchań. Wstawajcie. Będziecie szli między nami i nie próbujcie żadnych sztuczek, bo będzie z wami źle.

Potrząsnął złowieszczo mieczem.

Chłopcy podnieśli się z wolna. Wyszli za jednym z gwardzistów na kamienny, wilgotny korytarz. Drugi gwardzista zamykał pochód. Za nimi korytarz opadał ku jakiejś niewiadomej ciemności, przed nimi wznosił się w górę. Minęli inne, zamknięte drzwi i weszli na schody. U ich szczytu stali jeszcze dwaj gwardziści.

Wepchnięto ich do długiego, oświetlonego latarniami pokoju. Bob wydał cichy jęk i nawet Jupiter pobladł. Widzieli już tego rodzaju pokoje w filmach. Była to sala tortur sprzed stuleci. I była autentyczna. Po jednej stronie stało przerażające koło tortur, na którym rozciągano przywiązane ofiary za pomocą wielkich ciężarów. Za nim drugie wielkie koło, do którego przywiązywano ofiary i młotem łamano im ręce i nogi. Były jeszcze inne masywne urządzenia z drewna, których przeznaczenia woleli się nie domyślać. Na środku sali stał żelazny posąg kobiety. Był wydrążony w środku, a jego przednia część, umieszczona na

zawiasach, otwierała się. Wewnątrz sterczały zardzewiałe szpikulce. Urządzenie to zwało się Żelazna Dama. Stawiano ofiarę wewnątrz i zamykano wolno przednią ścianę, a zardzewiałe szpikulce... ale ani Jupe, ani Bob nie chcieli o tym myśleć.

- Pokój przesłuchań - szepnął Rudi, a głos drżał mu lekko. - Słyszałem o nim. Pochodzi z czasów Czarnego Księcia Jana, krwawego tyrana z okresu średniowiecza. O ile wiem, nie używano go od tamtych czasów. Myślę, że księżę Stefan kazał nas tu przyprowadzić, żeby nas nastraszyć. Nie odważy się nas torturować!

Zapewne Rudi miał rację. Tym niemniej widok koła tortur, Żelaznej Damy i innych diabelskich urządzeń przyprawiał Boba i Jupe'a o mdłości.

- Cisza! - ryknął gwardzista do Rudiego. - Księżę Stefan nadchodzi!

Gwardziści, stojący przy drzwiach, wyprężyli się na baczność. Do sali wkroczył księżę Stefan, za nim księżę Rojas. Wyraz brzydkiej satysfakcji malował się na twarzy księcia Stefana.

- A więc mamy myszy w pułapce! - powiedział. - Czas, by zaczęły piszczeć. Powiecie mi, co chcę wiedzieć, albo gorzko tego pożałujecie.

Gwardziści wzięli z kąta fotel, odkurzyli go i ustawili przed drewnianą ławą, na której posadzono chłopców. Księżę Stefan usiadł i jął stukać palcami w poręczę fotela.

- Ach, młody Rudolf - zwrócił się do Rudiego. - Tak więc jesteś w to wmieszany. Zabiorę się do twego ojca i rodziny, nie mówiąc o tobie. To ci mogę przyrzec.

Rudi zacisnął usta i nie odezwał się słowem.

- A teraz wy, moi młodzi Amerykanie - kontynuował księżę Stefan. - Wpadliście. Przynajmniej dwaj z was. Nie będę was pytał, po co jesteście w tym kraju. Aparaty fotograficzne, które zostawiliście uciekając, powiedziały nam wszystko. Jesteście agentami rządu amerykańskiego! Szpiedzy! Przyjechaliście tu spiskować przeciw Waranii. Dopuściliście się jeszcze większej zbrodni. Ukradliście srebrnego pająka Waranii.

Wychylił się ku nim z fotela i twarz mu pociemniała.



- Powiedzcie mi, gdzie on jest, a obejdę się z wami łagodnie. Wybaczę wam, bo jesteście po prostu młodzi i głupi. Mówcie!

- My nie ukradliśmy pająka - powiedział śmiało Jupiter. - Ktoś inny to zrobił i ukrył go w naszym pokoju.

- Oho! - wykrzyknął książę Stefan. - Przyznajesz, że go macie. To już jest przestępstwem. Ale ja mam miękkie serce i wyrozumiałość dla młodości i jej szaleństw. Powiedzcie mi tylko, gdzie jest, zwróćcie mi go, a wam wybaczę.

Bob czekał, by Jupiter zabrał głos. Jupe zawahał się. Uznał w końcu, że najlepiej będzie powiedzieć prawdę.

- Nie wiemy gdzie jest.

- Stawiasz się, co? - książę Stefan rzucił mu groźne spojrzenie. - Niech więc drugi mi powie. Jeśli oczekujesz litości, mała myszko, mów, gdzie jest srebrny pająk.

- Nie wiem - powiedział Bob. - Nie mam zielonego pojęcia.

- Ale mieliście go przecież! - ryknął książę Stefan. - Przyznaliście się do tego. Wiecie więc, gdzie jest. Czyście go ukryli? Daliście komuś? Odpowiadać, bo będzie z wami źle.

- Nie wiemy, gdzie się podział - odparł Jupiter. - Może nas pan wypytywać całą noc i nic innego nie będziemy w stanie panu powiedzieć.

- A więc to tak. Jesteście uparci - książę Stefan zabębnił palcami w poręcz fotela. - Możemy was wyleczyć z tej przypadłości. Mamy tu urządzenia, które zmusiły dorosłych mężczyzn, o wiele odważniejszych niż wy, do krzyków i błagań, by pozwolono im zeznawać. Jak by się wam podobało, na przykład, stanąć w objęciach Żelaznej Damy?

Jupe przełknął ślinę w milczeniu. Rudi zaś śmiało wykrzyknął:

- Nie odważysz się! Planujesz przejęcie tronu i oczekujesz, że naród uzna cię za sprawiedliwego i łagodnego władcę. Jeśli rozejdziesz się wieść, że kogoś torturowałeś, podzielisz los Czarnego Księcia Jana. Pamiętaj, że przed wiekami naród powstał i rozerwał go na strzępy, kawałek po kawałku!

- Co za odwaga - zadrwił ksiązę Stefan. - Nie potrzebuję jednak Żelaznej Damy ani koła tortur, by wydobyć prawdę z tych winowajców. Mam inne metody. - Tu dał sygnał gwardzistom i rozkazał: - Przyprowadźcie Cygana, starego Antona.

- Sędziwy Anton! - szepnął Rudi poruszony. - On...

- Cicho! - zgromił go ksiązę Stefan.

Chłopcy wyciągnęli szyje w stronę drzwi. Wchodził w nie stary człowiek w eskorcie dwóch gwardzistów. Był wysoki, a raczej byłby, gdyby nie pochylał się nisko, wsparty o laskę. Nosił kolorowe łachmany, miał w uszach złote krążki, a jego policzki były tak zapadnięte, że przywodziły na myśl trupa czaszkę. Błękitne oczy, płonące w tej twarzy, na jej ciemnym tle wydawały się jeszcze jaśniejsze.

Szedł kuśtykając i zatrzymał się przed księciem Stefanem.

- Jam jest stary Anton - powiedział tonem osoby uważającej się za wiele ważniejszą od swego rozmówcy.

- Potrzebuję twych tajemnych sił - powiedział ksiązę Stefan. - Ci chłopcy wiedzą coś, czego nie chcą wyjawiać. Musisz wydobyć z nich dla mnie tę wiadomość.

Trupa twarz sędziwego Cygana przeciął ironiczny uśmiech.

- Staremu Antonowi się nie rozkazuje - rzekł. - Dobranoc, ksiązę Stefanie.

Księciu Stefanowi twarz pociemniała wobec tej bezczelności Cygana. Opanował jednak złość i wyjął z kieszeni kilka sztuk złota.

- Nie chciałem ci rozkazywać, Anton. Błagam cię o pomoc. Dobrze zapłacę. Oto złoto.

Cygan zatrzymał się. Sięgnął szponiastą dłonią po złoto i schował je pod łachmanami.

- Anton pomoże osobie tak hojnej - powiedział i zabrzmiało to, jakby naigrawał się z księcia. - Jakiej wiedzy szukasz, ksiązę Stefanie?

- Te młode diabliki wiedzą, gdzie się znajduje srebrny pajak Waranii. Ukryli go i nie chcą powiedzieć gdzie. Mógłbym łatwo dowiedzieć się wszystkiego - wskazał ręką narzędzia tortur - ale jestem miłosierny. Twoje moce są wielkie i bezbolesne. Przesłuchaj ich.

- Stary Anton jest posłuszny - zarechotał Cygan. Stał twarzą do chłopców. Spomiędzy łachmanów wyciągnął miedziany kubek i woreczek. Wziął z woreczka kilka szczypt czegoś o wyglądzie nasion i wsypał do kubka. Następnie, ku zdziwieniu wszystkich, wydobyl nowoczesną zapalniczkę i podpalił nią nasiona. Ciężki, błękitny dym uniósł się w powietrze.

- Wdychajcie, malcy - nucił jękliwie, wodząc kubkiem tam i z powrotem przed nosami chłopców. - Wdychajcie głęboko. Anton każe wam wdychać dym prawdy.

Starali się odwrócić głowę i wstrzymać oddech, lecz nie mogli. Dym wkręcał im się w nozdrza. Wdychali go wbrew woli. Był gryzący, ale nie był niemiły. Poczuli się odprężeni, a ich myśli stawały się przyjemnie senne.

- Teraz patrzcie na mnie - powiedział stary Anton. - Patrzcie na mnie, malcy. Patrzcie mi w oczy.

Chcieli się temu oprzeć, ale ich twarze same zwróciły się ku Cyganowi. Spojrzeli w świetliste, niebieskie oczy i wydało im się, że są to dwa rozległe, głębokie jeziora, w które się zanurzają.

- A teraz mówcie! - rozkazał Anton. - Srebrny pajak! Gdzie jest?

- Nie wiem - odpowiedział Rudi, mimo że usiłował zachować milczenie.

Bob i Jupiter powtórzyli za nim jak echo:

- Nie wiem...

- Nie wiem...

- Ach! - mruknął Anton. - Wdychajcie jeszcze. Wdychajcie głęboko. Ponownie przesunął im przed twarzami kubek. Bob czuł się tak, jakby szybował gdzieś wysoko na bardzo wygodnym obłoku.

Cygan położył lekko palec na czole Rudiego, pochylił się i patrzył mu z bliska w oczy, bez mrugnięcia powiek. Rudi czuł, że nawet za cenę życia nie byłby w stanie odwrócić wzroku.

- Nie mów nic teraz - szepnął stary Anton. - Myśl o srebrnym pająku. Myśl, gdzie jest... ach!

Po długiej chwili odjął palec od czoła Rudiego i powtórzył ten sam zabieg z Jupiterem. Znowu mruknął "ach!" i przeszedł do Boba. Pod dotknięciem jego palców Bob poczuł mrowienie, jakby lekkie porażenie prądem. Widział jedynie oczy Antona. Niebieskie, przenikliwe, zdawały się czytać myśli. Bob stwierdził, że myśli o srebrnym pająku. Zobaczył go na swej dłoni. Nagle pająk znikł. Bob nie miał pojęcia, gdzie się podział. Nie mógł sobie tego przypomnieć. Jakby chmura zasłoniła mu myśli.

Sędziwy Cygan zdawał się być zaskoczony. Zwlekał, powtarzając:

"Myśl, myśl!" Wreszcie westchnął i odwrócił się. Bob zamrugał powiekami. Czuł się, jakby go uwolniono z zaklęcia.

Stary Anton kiwnął głową i zwrócił się do księcia Stefana:

- Ten pierwszy nie widział srebrnego pająka i nie wie, gdzie on jest. Ten gruby widział pająka, ale go nie trzymał. Nie wie, gdzie jest. Ten mały miał pająka w ręce, a potem...

- Tak? - powiedział książę Stefan nagłaco. - Mów!

- Chmura zasnęła jego myśli. Srebrny pająk znikł w tej chmurze. Nigdy dotąd nie spotkałem takiego przypadku. Był czas, że wiedział, gdzie podział się srebrny pająk, ale pustka wypełniła mu umysł i zapomniał. Dopóki sobie nie przypomni, nic więcej nie mogę zrobić.

- Do stu piorunów! - fuknął książę Stefan. Jego palce znów zaczęły bębnić w poręcz fotela.

- Powiedz no mi, Cyganie... - zaczął, ale zmienił ton: - Stary Antonie, doceniam twoje wysiłki. Nie twoja wina, że chłopcy nie potrafią powiedzieć, gdzie jest srebrny pająk. Lecz, być może, ty się domyślasz? Wszyscy wiemy, że posiadasz liczne zdolności. Co stało się z

pajakiem i... - dodał z hamowaną pożądlivością - czy uda mi się przejąć tron w Waranii, by głupi i słaby chłopiec na nim nie zasiadł?

Przebiegły uśmiech pojawił się na twarzy starego Antona.

- Co do srebrnego pajaka - powiedział - choć srebrny, to tylko pajak. Co do tronu w Waranii, usłyszysz dzwon bijący na zwycięstwo. A teraz dobranoc. Starzec taki jak ja potrzebuje snu. - Zachichotał gardłowo i skierował się do wyjścia.

Księżę Stefan skinał na gwardzistów.

- Odprowadźcie go do domu. Słyszałeś?! - zwrócił się do księcia Rojasa. - Srebrny pajak to tylko pajak, czyli, że nie ma znaczenia i możemy go zignorować. I Anton powiedział, że odniosę zwycięstwo. Wiemy, że Anton się nie myli w takich sprawach. Nie będziemy czekać dłużej. Rano przepchniemy proklamację. Księżę Djaro jest aresztowany, a ja pozostaję regentem do następnego obwieszczenia. Wystąp z oskarżeniem Stanów Zjednoczonych o próbę ingerencji w nasze wewnętrzne sprawy. Ogłoś aresztowanie tych dwóch szpiegów i złodziei. Ogłoś nagrodę za znalezienie trzeciego. Zgarnij wszystkich członków rodziny Rudolfa i wszystkich tak zwanych Bardów, jakich tylko uda ci się wyłuskać. Oskarż ich o zdradę stanu. Do jutra będę miał Waranie mocno w garści. Zdecydujemy potem, czy wytoczyć publiczny proces tym tu łotrzykom, czy tylko wypędzić ich z kraju. Straż. Wziąć ich z powrotem do celi. Niech sobie tam pomedytują.

Przysunął się do Boba.

- Tymczasem, myszko, staraj się sobie przypomnieć, co zrobiłeś ze srebrnym pajakiem. Anton powiedział, co prawda, że nie ma on znaczenia, wolałbym go jednak mieć na piersi, gdy zostanę koronowany księciem Waranii. A teraz zabierajcie ich!

## Rozdział 12

### W kanałach

Dwóch strażników eskortowało Jupitera, Boba i Rudiego z powrotem do celi w podziemnych lochach. Gdy schodzili z łoskotem po kamiennych stopniach, idący za Rudim strażnik przysunął się blisko i szepnął mu do ucha:

- Przyjazne szczury są w kanałach.

Rudi skinął głową. Chwilę później wprowadzono ich do małej kamiennej celi o wilgotnych ścianach, oświetlonej jedną migocącą świecą. Żelazne drzwi zamknęły się za nimi ze zgrzytem i zostali sami. Dwaj strażnicy stanęli na warcie za drzwiami.

Milczeli i w zupełnej ciszy dobiegł ich ledwie uchwytny odgłos, jakby płynącej wody.

- Pod pałacem biegną kanały odpływowe Denzo - wyjaśnił Rudi. - Na dworze musi być silny deszcz i wypełnia ścieki. Kanały Denzo mają setki lat i nie są, jak moglibyście przypuszczać, rurami. To są kamienne tunele, miejscami przewyższające wysokością wzrost mężczyzny. Mają płaskie dno i zaokrąglone sklepienie. W czasie suszy można nimi iść kilometrami. Gdy pada deszcz, można się nawet posłużyć łódką. Niewielu odważyło się w nie zagłębić, ale Elena, ja i jeszcze kilka osób znamy je dobrze. Gdyby udało nam się przedostać do kanałów, a woda w nich nie byłaby zbyt głęboka, doszlibyśmy nimi w bezpieczne miejsce. Moglibyśmy wyjść na ulicę w pobliżu ambasady amerykańskiej i tam byście się schronili.

Przez chwilę Jupiter rozważał słowa Rudiego. Wreszcie potrząsnął głową.

- Jesteśmy zamknięci w celi. Nie wygląda na to, byśmy się mogli gdziekolwiek przedostać.

- Gdyby udało nam się wyjść z celi choć na chwilę - powiedział Rudi w zadumie - na samym końcu korytarza jest właz do kanałów... Urwał, po czym mówił dalej:

- Ktoś czeka w kanałach, by przyjść nam z pomocą. Jeden ze strażników przekazał mi wiadomość. Powiedział “przyjazne szczury są w kanałach”. Gdybyśmy tylko zdołali się tam przedostać.

- Chyba Jupe ma rację - odezwał się Bob. - Nie wyjdziemy stąd, dopóki książe Stefan nas nie wypuści. Kto to był, ten Cygan Anton? Odniosłem wrażenie, że czytał nasze myśli.

Rudi skinął głową.

- Tak, czuł je. Anton jest królem nielicznych pozostałych w Waranii Cyganów. Mówią, że ma sto lat i posiada dziwne siły, nikt nie wie skąd. Z pewnością znał prawdę o srebrnym pająku. Zmartwiło mnie to, co powiedział księciu Stefanowi o dzwonach bijących na zwycięstwo. Jeśli je słyszał, nasza sprawa jest beznadziejna. Mój ojciec zostanie uwięziony. Także moi przyjaciele. Elena i ja... - zamilkł strapiiony.

Bob rozumiał, jak Rudi musi się czuć.

- Nie możemy się poddawać, nawet jeśli nie widać nadziei - powiedział z mocą. - Jupe, może masz jakiś pomysł?

- Mam pomysł, jak się stąd wydostać - odparł Jupiter cicho. - Przede wszystkim musimy się postarać, żeby strażnicy otworzyli drzwi. Wtedy ich obezwładnimy.

- Obezwładnić dwóch dorosłych mężczyzn? - szepnął Rudi. - Bez broni? To niemożliwe.

- Coś mi się przypomniało - mówił Jupiter w zadumie. - Oczywiście to tylko opowiadanie, ale myślę, że mogłoby się zdarzyć naprawdę. Było w książce z tajemniczymi opowieściami, którą dał nam pan Hitchcock.

- Przejdź do tego pomysłu, Jupe - zniecierpliwił się Bob.

- W ostatnim opowiadaniu, chłopiec i dziewczynka są zamknięci właśnie tak, jak my teraz. Drą prześcieradła, skręcają je w sznury i robią na obu końcach pętle. Następnie prowokują oprawców do wejścia do celi. - Jupe opisał dalej szczegółowo, jak podstęp w opowiadaniu się udał. Rudi słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

- To jest możliwe! - wykrzyknął w końcu, po czym zniżył głos, by go nie usłyszano przez mały wizjer w drzwiach. - Ale z czego zrobimy sznury?

- Z tych kocy na pryczach - odpowiedział Jupiter. - Są stare i wystrzępione na brzegach. Dadzą się rozerwać na pasma. Takie pasma będą dostatecznie silne i nawet nie musimy ich skręcać, żeby zrobić z nich coś w rodzaju sznura.

- To się może udać - mruczał Rudi. - Jeden ze strażników nam sprzyja i będzie tylko udawał, że walczy. Jeśli złapiemy drugiego... dobra, spróbujmy.

Zabrali się do roboty. Koce istotnie były w strzępach, darły się więc z łatwością. Chłopcy pracowali wolno, bardzo wolno, by nie narobić hałasu. Oddarli najpierw jeden pas, szerokości około dziesięciu centymetrów, potem następny i następny.

Była to zmudna i męcząca praca, chwilami musieli pomagać sobie zębami. Nie ustawali jednak w wysiłkach. Mieli już cztery pasy. Po pewnym czasie osiem, wtedy Jupiter zaproponował odpoczynek.

Wyciągnęli się na twardych pryczach, ale niecierpliwość nie pozwoliła im długo odpoczywać. Zabrali się więc znowu do roboty. Jupiter mocno związał ze sobą dwa pasy. Następnie na ich obu końcach zrobił luźne pętle. Wypróbował swoje dzieło na Rudim. Pętle zacisnęły się, jak trzeba, na nogach i ramionach. Rudi promieniał, pełen uznania i podekscytowania.

- Brojas! - szepnął. - To będzie działać. Czy cztery takie sznury wystarczą?

- Starczą na strażników - odszepnął Jupiter.

- Zrobimy ich więcej i zabierzemy ze sobą - powiedział Rudi. - Przydadzą się w kanałach.

Oddarli jeszcze osiem pasm i powiązali je w jeden długi sznur, którym Rudi owinał się w pasie.

- Teraz bierzmy się do trudniejszej części zadania - szepnął Jupiter. - Bob, wyciągnij się na pryczy i zacznij jęczeć. Najpierw cicho, potem głośniej. Rudi, ułóż pętle pod drzwiami tak, żeby wchodzący musiał w nie stąpnąć.



Gdy wszystko było przygotowane, Bob zaczął stękać, potem jęczeć. Jęczał coraz głośniejsze i robił to tak prawdziwie, jakby istotnie miał bóle. Po minucie jeden ze strażników zajrzał przez wizjer.

- Cicho tam! - zawołał. - Skończ z tym!

Rudi stał przy drzwiach, podczas gdy Jupiter ze świecą w ręce pochylał się troskliwie nad Bobem.

- On jest ranny - powiedział Rudi po warańsku. - Uderzył się w głowę, kiedy go schwytano. Ma teraz gorączkę i potrzebuje doktora.

- To podstęp, ty draniu!

- Mówię ci, że jest chory! - krzyknął Rudi. - Wejdz i dotknij jego czoła. Przekonasz się i przyprowadzisz lekarza. Zaczniemy mówić, jeśli to zrobisz. Powiemy, gdzie jest srebrny pajak. Książę Stefan będzie uradowany.

Strażnik wciąż nie mógł się zdecydować i Rudi zaczął mówić z większą natarczywością:

- Wiesz dobrze, że książę nie chciałby, żeby coś się naprawdę stało tym Amerykanom. Mały potrzebuje lekarza, dlatego są gotowi oddać srebrnego pajaka. Pospiesz się, on może być bardzo chory!

- Zobaczmy lepiej, czy to prawda - odezwał się drugi strażnik. Był to ten, który przekazał Rudiemu wiadomość. - Wolę się nie narażać księciu Stefanowi. Ty sprawdź, czy chłopiec jest naprawdę chory, a ja będę pilnował drzwi. Nie ma się czego bać, to tylko chłopcy.

- Dobrze - powiedział pierwszy strażnik - sprawdzę, czy ma gorączkę. Jeśli to jest jakiś podstęp, gorzko pożałują.

Wielki klucz zazgrzytał w zamku. Żelazne drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i strażnik wszedł do celi.

Pierwszy krok postawił prosto w oczekującą pętlę. Rudi zaciągnął ją błyskawicznie i strażnik padł ciężko na podłogę, wypuszczając z ręki latarnię. Jupiter zakręcił drugą pętlą jak lassem i zarzucił ją na głowę leżącego, zaś Rudi trzecią pętlą unieruchomił jego bijące wokół ręce.

- Na pomoc! - wrzeszczał strażnik. - Na pomoc! Złapały mnie te diabły!

Drugi strażnik wbiegł do celi. Rudi już czekał na niego. Pętlę zarzucił mu na szyję, następna zacisnęła się wokół nóg. Pętłe na drugim końcu sznurów założyli przedtem na pierwszego strażnika, tak więc mieli teraz obu strażników ciasno związanych ze sobą. Gdy leżący strażnik kopał i wierzgał, pętłe na stojącym zaciskały się tak, że w końcu upadł na towarzysza. Rudi pochylił się nad nim i szepnął mu do ucha:

- Walcz mocno! Szarp się! Nie ustawaj.

Strażnik usłuchał. Zmagając się, obaj zaciskali pętłe na sobie nawzajem i wkrótce żaden nie mógł się już ruszyć. Rudi zachichotał. Pomyślał, że dwaj strażnicy wyglądają jak muchy w pajęczynie, i uznał to za dobry omen. Poczuł, że wraca mu odwaga i nadzieja.

- Szybko! - zawołał. - W głębi korytarza są inni strażnicy i mogą usłyszeć. Musimy się spieszyć. Jupe, weź drugą latarnię i za mną!

Pobiegł w dół korytarza. Lochy poniżej były ciemne choć oko wykol. Bob i Jupiter pędzili za nim co tchu. Latarnia Jupe'a rzucała przed nim skaczące plamy światła.

Dopadli do jakichś schodów. Zbiegli po nich i zatrzymali się. Rudi, schylony, szarpał dużą żelazną obręcz, przytwierdzoną do podłogi. W świetle latarni zobaczyli, że była to wiekowa, zardzewiała kłapa wjazdu, osadzona w kamiennej podłodze.

- Zacięta się - wysapał Rudi. - Zardzewiała. Nie mogę jej ruszyć.

- Szybko! - zawołał Jupiter. - Sznur. Przełóż przez obręcz i będziemy ciągnąć razem.

- Dobra! - Rudi zakręcił się w kółko, odwijając z siebie sznur z koca. Przewlókł go przez obręcz i wszyscy trzej zaczęli ciągnąć. Pokrywa ani drgnęła. Za nimi rozległy się okrzyki i stukot stóp. Szarpnęli sznur ze zdwojoną siłą.

Pokrywa odskoczyła i opadła na podłogę z łoskotem. Odsłoniła się czarna dziura i dał się słyszeć bulgot płynącej wody.

- Pójdę pierwszy - Rudi wyciągał sznur z obręczy. - Wszyscy trzymajmy się sznura. Nie damy rady założyć pokrywy z powrotem.

Opuścił nogi w głąb włazu, uchwyt latarni włożył sobie między zęby i trzymając sznur znikł w otworze. Bob za nim. Dziura włazu i odgłos wody poniżej nie zachęcały do wejścia, ale nie było czasu na wahanie. Przez długą, nie kończącą się chwilę spadał w próżnię. Wreszcie wylądował na dnie antycznego ścieku. Spadł z wysokości zaledwie półtora metra. Nie mogło mu się nic stać i woda była tylko po kolana, ale przewróciłby się w nią niechybnie, gdyby Rudi nie złapał go w porę.

- Uwaga - szepnął Rudi - leci Jupiter. Zejdź mu z drogi.

Jupiter miał mniej szczęścia. Stracił równowagę i nim zdolali go pochwycić, usiadł w płynącej bystro wodzie. Rudi podał mu rękę i Jupe sapiąc pozbiierał się na nogi.

- Zimna! - prychnął.

- To tylko deszczowa woda - powiedział Rudi. - Jeszcze się w niej dość wymoczymy, nim stąd wyjdziemy. Płynie do rzeki, na końcu jest gruba, żelazna krata. Nie wyjdziemy tamtędy. Musimy iść pod prąd. Chodźcie za mną i trzymajcie się sznura.

Gniewne okrzyki rozniosły się echem i w górze rozbłysło światło latarni. Ale chłopcy ruszyli już w drogę. Szli spieszenie przez rwącą wodę, schylając się, gdy sklepienie było w jakimś miejscu niskie. Oddalali się szybko od włazu, świateł i okrzyków.

Wkrótce kanał, którym szli, połączył się z innym, większym i mogli się wyprostować. Trzymając się kurczowo sznura brnęli naprzód. Dwie latarnie, które mieli, nie rozpraszały głębokich ciemności. Dosłyszeli piski i coś włochatego otarło się Bobowi o nogę, płynąc w przeciwnym kierunku. Wzdrygnął się i szedł uparcie dalej.

- Strażnicy będą szli za nami - powiedział Rudi. - Muszą, z obawy przed księciem Stefanem. Ale nie znają tych kanałów, a ja znam je dobrze. Przed nami jest miejsce, gdzie się zatrzymamy dla złapania tchu.

Niemal ciągnął ich za sobą. Woda była teraz głębsza. W pewnym miejscu spadała z góry jak wodospad i zmoczyła ich od stóp do głów. Bob domyślił się, że był to ściek uliczny.

Minęli następny mały wodospad i nagle otworzyła się przed nimi duża, okrągła komora, z której wybiegały cztery tunele. Rudi zatrzymał się i zatoczył łuk latarnią. W jej świetle dostrzegli występ biegnący wokół komory, a także żelazne klamry, wbite w kamienną ścianę, jedna nad drugą.

- Moglibyśmy wyjść tędy na górę - powiedział Rudi - ale lepiej nie próbować. Zbyt blisko pałacu. Odpoczniemy tylko na tym występie. Jestem pewien, że mamy przewagę kilku minut nad strażnikami. Możecie być spokojni, że nie będą się w tych kanałach spieszyć.

Wdrapali się na występ i wyciągnęli na nim z ulgą.

- No i udało się - powiedział Bob. - W każdym razie, jak dotąd. Gdzie właściwie teraz jesteśmy?

Rudi zaczął mu odpowiadać, lecz nagle urwał.

- Zgaście latarnię! - szepnął nagle.

Zgasili światła i wpatrzyli się w ciemność. W tunelu na wprost załśniła słaba poświata i wyraźnie zbliżała się do nich. Ktoś szedł w ich stronę. A za nimi postępowali strażnicy!

Byli w pułapce!

## Rozdział 13

### Ucieczka przez ciemności

- Wstawajcie! - syknął Rudi. - Musimy wyjść na ulicę. Pójdę pierwszy.

Zaczął pięć się w górę po żelaznych klamrach, mokrych i śliskich. Bob i Jupiter za nim. Zapalili jedną z latarni tylko na chwilę, żeby odnaleźć klamry wyłazu, teraz wspinali się w ciemnościach.

Rudi był już na szczycie. Zaparł się obiema rękami, podsadził ramiona pod skraj żelaznej pokrywy i wyprostował się powoli. Uniosła się nieco i promień dziennego światła wdarł się przez szparę. Rudi podparł pokrywę jeszcze parę centymetrów wyżej, tak że mógł unieść głowę i wyrzeć na zewnątrz. Wydał okrzyk przerażenia i opuścił pokrywę z powrotem.

- Patrol tuż na rogu, czekają na nas - szepnął. - Nim zdążymy zdjąć pokrywę i wyjść, dopadną nas.

- Może zdołamy się ukryć tu, gdzie jesteśmy - powiedział Jupiter bez specjalnego przekonania.

- Nic więcej nie możemy zrobić - westchnął Rudi. - Módlmy się, żeby poszli dalej.

W dole, na wodzie zamigotało światło. Wpatrywali się w nie uporczywie. Potem ukazała się wążutka łódź. Na jej rufie siedział jakiś człowiek i odpychał łódź bosakiem. Na dziobie zaś przysiadła dziewczyna z silną latarką elektryczną w ręce.

- Rudi! - wołała. - Rudi, gdzie jesteś?

- Elena! - wykrzyknął Rudi. - Tu, na górze. Stójcie.

Łódź zatrzymała się. Światło latarki ogarnęło trzech chłopców, schodzących po klamrach w dół.

- Chwała księciu Paulowi! Jesteście! - radowała się Elena. - Więc zdołaliście uciec.

Chłopcy wtoczyli się do łodzi, podczas gdy mężczyzna na rufie utrzymywał ją w równowadze. Natychmiast zawrócił łódź i potężnymi uderzeniami bosaka skierował ją tam, skąd przybyła.

- Strażnik przekazał mi wiadomość o przyjaznych szczurach w kanałach - powiedział Rudi do Eleny.

- Wyglądamy was od wielu godzin - odparła Elena. - Baliśmy się, że nie uda się wam uciec. Och, Rudi, jakże się cieszę, że was widzę!

- A my cieszymy się, że widzimy was - roześmiał się Rudi i wskazując mężczyznę na rufie, powiedział do chłopców: - To mój kuzyn Dmitri. - Po czym zwracając się do Eleny zapytał: - Jakie nowiny?

- Nie czas teraz na rozmowy. Powiem ci później, jak się zatrzymamy. Patrzcie!

Snop dziennego światła rozdarł ciemności przed nimi.

- Podnieśli pokrywę włazu! - krzyknął Dmitri. - Czekają na nas. Postaram się prześliznąć.

Zaczął mocniej dźgać wodę bosakiem. Mała łódź wystrzeliła do przodu i znalazła się w kręgu światła. Spojrzeli w górę. Strażnicy schodzili po kłamrach do kanału. Jeden z nich krzyknął i skoczył w kierunku łodzi. Przewróciłoby ją to niechybnie, ale Dmitri zboczył ostro. Strażnik wpadł z pluskiem do wody i zanurzył się w niej, parskając.

W sekundę wpłynęli w ciemny, ponury tunel i mknęli nim chyżo dalej, pod miastem.

- Będą nas ścigać, ale pieszo są wolniejsi od nas - odezwał się Rudi.

- Raczej otworzą właz przed nami i tam będą czekali - powiedział Dmitri. - Zmieniam kurs. Tu jest rozgałęzienie.

Wpłynęli do następnej wielkiej komory, gdzie wpadała woda z trzech dużych tuneli. Dmitri skierował łódź do najmniejszego z nich, po lewej stronie. Rudi pochwycił mniejszy

bosak i umiejętnie ochraniał dziób łodzi przed obijaniem się o kamienne ściany. Czasami sklepienie było tak niskie, że musieli schylać głowy.

- Mojego kuzyna widzieliście wczoraj w parku. Dyrygował orkiestrą - powiedział Rudi. - Jest jednym z nielicznych, którzy znają te kanały równie dobrze jak Elena i ja.

Tunel obniżał się do tego stopnia, że sklepienie było tuż nad wodą. Bob obawiał się, że nie uda im się przecisnąć. Ale mijali jakoś krytyczne miejsca i nic nie wskazywało na to, że są ścigani.

- Gdzie jest Pete? - zapytał Jupiter przycupnięty obok Eleny.

- Czeka na nas. Nie byłoby dla niego dość miejsca w łodzi. Poza tym lepiej, żeby pozostał tam, gdzie jest. Proponowałam, żeby przedostał się w bezpieczne schronienie, ale nie chciał się bez was ruszyć. Nie tracił nadziei, że was uratujemy.

Tak, to był cały Pete.

- Gdzie jesteśmy, Dmitri? - zawołał Rudi. - Pogubiłem się chyba.

- Robimy koło, ale dostaniemy się do kryjówki w pięć minut - odpowiedział Dmitri.

Znów znaleźli się w komorze, w której spotykało się kilka tuneli. Tym razem Dmitri pchnął łódź w tunel środkowy. Był większy od poprzedniego i mogli siedzieć swobodnie. Płynęli jakiś czas, gdy nagle dostrzegli niewyraźne światło przed sobą.

- Ktoś jest przed nami! - zawołał Bob zaniepokojony.

- Pewnie Pete, jeśli szczęście nam sprzyja - powiedziała Elena.

- To nasze miejsce spotkania.

Światło stawało się coraz jaśniejsze i widzieli już, że rzuca je elektryczna latarnia, stojąca w niewielkiej niszy. Obok latarni siedział przykucnięty Pete. Powitał ich entuzjastycznie:

- Jak się cieszę, że was widzę! Zaczynało mi tu być samotnie. Szczury chciały mi, co prawda, dotrzymać towarzystwa, ale je przepędziłem.

Dmitri ustawił łódź tuż przy ścianie, a Rudi umocował ją liną, którą wcisnął między kamienie. Wdrapali się wszyscy do niszy. Jej skaliste ściany miały naturalną szorstkość, w przeciwieństwie do gładkich i przylegających do siebie kamieni kanałów, które budowali rzemieślnicy stulecia temu.

- Znaleziono tę podziemną jaskinię w czasie budowy kanałów - mówił Rudi, gdy rozsiadli się zmęczeni na kamieniach. - Prościej było zostawić ją, niż zabudować. Odkryłem ją przed laty. Założyliśmy tajemne stowarzyszenie badaczy kanałów. Nasz ojciec robił wszystko, żeby położyć kres towarzystwu. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że tak przydatne okażą się nasze dziecięce zabawy.

- Musimy się teraz naradzić - odezwała się Elena z niepokojem. - Nie sędzę, by można było zrealizować nasz pierwotny plan.

- Ale najpierw powiedzcie nam, co zaszło. Jak znalazłeś się tutaj, Dmitri? - zapytał Rudi.

- Byłem u twego ojca, gdy gwardziści przyszli go aresztować. Uciekłem przez sekretne drzwi, stanąłem pod nimi i słuchałem. Kapitan wygrażał twemu ojcu. Mówił: "Twój syn-zdrajca został schwytany i wkrótce wszyscy staniecie przed sądem". Nie napomknął słowem o Elenie, miałem więc nadzieję, że uciekła. Znałem jej plany. Poszedłem do kanałów, by ją odszukać i służyć w razie potrzeby pomocą. Padało, w kanałach było dużo wody. Wziąłem więc starą łódź z ukrycia.

- Tak, Dmitri znalazł nas w samą porę - podjęła opowieść Elena. - Uciekliśmy z Pete'em z pałacu tak, jak było zaplanowane. Zeszliśmy do kanałów i spotkaliśmy się z Dmitrim. Zdecydowaliśmy trwać na czatach, jak tylko się da najdłużej, bo może uda się wam uciec. Doszliśmy do wniosku, że jedyną szansą jest dla was ucieczka przez lochy. No i nie myliliśmy się. Ale czas porozmawiać o przyszłości.

- Posłuchajmy najpierw radia - powiedział Dmitri. - Pete, masz je?

- Oczywiście - Pete wydobyl z kieszeni maleńkie radio tranzystorowe. - Wyłączyłem je, bo nie rozumiałem ani słowa.



Dmitri włączył radjko. Popłynął potok warańskich słów, a potem dźwięki wojskowej muzyki. Elena tłumaczyła Trzem Detektywom:

- Wzywają wszystkich obywateli Waranii do słuchania radia i oglądania telewizji, gdyż o godzinie ósmej rano zostanie ogłoszone ważne obwieszczenie. Powiedział, że będzie to obwieszczenie najwyższej wagi. To był głos premiera. Na pewno z taśmy. A więc o godzinie ósmej mają zamiar ogłosić, że został wykryty spisek zagraniczny, czyli wy trzej, i że księżę Djaro jest w niego wmieszany. Księżę Stefan będzie sprawował władzę aż do następnego zawiadomienia. Nie spodziewali się, oczywiście, że uciekniecie. Spodziewali się natomiast, że będą mogli wytoczyć wam publiczny proces, pokazać wasze aparaty fotograficzne i nie wiadomo co jeszcze. Potem wygnaliby was z kraju, a Rudiego i naszego ojca wsadzili do więzienia. A potem... och, najwstrętniejsze rzeczy, jakie tylko mogą przyjść na myśl.

- Rany - westchnął Bob zgnębiony. - Pogorszyliśmy tylko sytuację Djaro. Byłoby dla niego lepiej, gdybyśmy zostali w domu.

- Nikt nie mógł tego przewidzieć - powiedziała Elena. - Teraz musimy doprowadzić was bezpiecznie do ambasady amerykańskiej. Prawda, Dmitri?

- Tak, masz rację, Elena.

- Ale co z wami? Co z waszym ojcem? Co z Djaro? - pytał Jupiter.

- Pomyślimy o tym później - odparła Elena i westchnęła. - Obawiam się, że spisek jest zbyt dobrze przygotowany jak na nasze możliwości. Moglibyśmy go obalić, gdybyśmy oswobodzili Djaro i wznieci powstanie wśród ludności miasta Denzo. Ale, jak już mówiliśmy, wszystko skupione jest w rękach księcia Stefana.

- Tak - podjął Dmitri - najpierw wasze bezpieczeństwo, potem pomyślimy, co da się zrobić dla nas. Obawiam się, że jesteśmy na straconej pozycji. Może któregoś dnia los się odmieni. Teraz musimy ruszać. Na dworze już ranek. Za godzinę radio i telewizja nadadzą obwieszczenie premiera. Miejmy nadzieję, że do tego czasu będziecie bezpiecznie w ambasadzie. A więc, za mną. Stąd pójdziemy na piechotę. Łódź nie pomieści nas wszystkich.

Opuścił się do płynącej bystro wody. Jedno za drugim poszli w jego ślady. Ruszyli w drogę gęsiego, trzymając się sznura z koca. Z ciężkimi sercami brnął mały pochód przez kanały Denzo.

## Rozdział 14

### Natchniony pomysł Jupitera

Deszcz ustał w mieście rozciągającym się nad ich głowami i woda w kanałach stawała się coraz płytsza. Wkrótce sięgała im zaledwie do kostek i mogli iść swobodniej. Mijali liczne komory z rozgałęzieniami tuneli, lecz Dmitri znał dobrze drogę.

- Idziemy do wyłazu na ulicy, przy której znajduje się ambasada amerykańska - zawołał do nich w pewnej chwili. - Módlcie się, żeby nie było tam straży.

Trudno było odmierzyć czas w ciemnościach kanałów, ale zdawało im się, że idą bardzo długo. Na pewno przeszli już pod ulicą na długości ośmiu lub dziesięciu przecznic. Weszli właśnie do kolejnej okrągłej komory z wyłazem, gdy Dmitri się zatrzymał.

- Co jest? - zawołał Rudi. - Musimy minąć jeszcze dwie przecznice.

- Wiem - odparł Dmitri - ale coś mi mówi, że tam straż będzie na pewno. Domyślają się, że tam zmierzamy, i wyłapią nas jak myszy wyłazące z nory. Jeśli się nie mylę, jesteśmy teraz pod targowiskiem kwiatów za kościołem Świętego Dominika. Tam nas nie będą szukali i możemy się stamtąd przekraść na zaplecze ambasady.

- Chyba masz rację - przytaknął Rudi. - Dobrze. Nie zostaniemy tu przecież do końca życia. Wychodzimy.

Stanęli pod żelaznymi klamrami. Dmitri wspiął się na górę i dźwignął ramieniem klapę włazu. Żelazna pokrywa uniosła się i upadła z brzękiem na bruk uliczny. Dmitri wydrapał się na zewnątrz.

- Chodźcie szybko! - zawołał. - Pomogę wam.

Jego silne ręce chwyciły i wyciągnęły najpierw Elenę, potem Boba. Bob mrugał oczami, oślepiiony dziennym światłem, od którego odwykł. Dzień był pochmurny, ulice lśniły po nocnym deszczu. Znajdowali się w wąskiej uliczce, obrzeżonej starymi domami. Wzdłuż

uliczki rozstawione były stragany na dzień targowy. Sprzedawcy w oryginalnych strojach wykładali kwiaty i owoce. Ze zdziwieniem przyglądali się przemoczonej grupce gramolących się z kanału.

Rudi z Dmitrim zasunęli z powrotem żelazną pokrywę, po czym Dmitri, ignorując ciekawe spojrzenia sprzedawców, ruszył wzdłuż ulicy. Przeszli nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, gdy Rudi zatrzymał się gwałtownie. Zza rogu ulicy wyszło dwóch gwardzistów pałacowych, w szkarłatnych mundurach.

- Zawracać! - syknął Dmitri. - Kryć się.

Ale było za późno. Dostrzeżono ich. Może nawet nie zostaliby rozpoznani, gdyby nie przemoczona odzież. Gwardziści podnieśli krzyk i rzucili się w pogoń za uciekinierami.

- Poddajcie się! - wrzeszczeli. - W imieniu regenta jesteście aresztowani.

- Najpierw musicie nas złapać - odrzyknął Dmitri wyzywająco. Zawrócił i machając rękami do swych towarzyszy, wołał: - Za mną! Do kościoła! Jest szansa...

Pozostałe słowa utonęły w zgiełku. Lawirując między sprzedawcami, pędzili za Rudim. Za nimi biegło około tuzina gwardzistów. Musieli się jednak przeciskać przez tłum gapiów, którzy wybiegli na środek wąskiej uliczki.

- Na bok! Z drogi! - pokrzykiwali gwardziści.

Bob zaczynał dyszeć z wysiłku. Widział już złotą kopułę kościoła Świętego Dominika, górującą nad dachami starych domów. Co nam da ukrycie się w kościele? - myślał. Odwlecze tylko aresztowanie. Ale Dmitri zdawał się mieć jakiś plan i nie był to moment, by zadawać pytania.

Jeden z goniących ich gwardzistów pośliznął się i upadł. Kilku jego towarzyszy w rozpędzie wpadło na niego. Zwalili się jeden na drugiego, dając tym sposobem kilkadziesiąt metrów przewagi uciekającemu. Bob pomyślał, że może upadek gwardzisty nie był przypadkowy. Być może był to przyjaciel, który starał się pomóc.

Wypadli za róg ulicy i tu wyrósł o jedną przecznicę przed nimi majestatyczny kościół. Lecz przy nim, również w odległości jednej przecznicy, stali gwardziści i patrzyli w ich stronę.

Nie dotrą do bram kościoła!

Ale Dmitri nie zamierzał się tam dostać. Przeciął w poprzek ulicę i biegł ku małym drzwiom na tyłach katedry. Wpadli do środka i zdążyli się zaryglować w momencie, gdy ich prześladowcy znaleźli się przed drzwiami. Wściekłe uderzenia pięści zabębniły w masywne drewno.

Bob ogarnął szybkim spojrzeniem pomieszczenie, w którym się znaleźli. Był to kwadratowy pokój, który zdawał się nie mieć sufitu. Ściany wznosiły się w górę i w górę, jak daleko sięgał wzrok. Po jednej stronie biegły schody, obudowane ciężką żelazną kratą. Ośmiu grubych lin zwisało z góry, a ich końce przewleczone były przez żelazne obręcze, przytwierdzone do kamiennej ściany.

Tyle zdążył zauważyć Bob.

- Zejdziemy teraz do katakumb - mówił Dmitri. - Wiecie, co to są katakumby? To miejsce na groby w podziemiach kościoła. Grzebano tam zmarłych w pradawnych czasach. Mają wiele poziomów i korytarzy. Tam możemy się ukryć...

- Co za sens dalej się ukrywać? - przerwał mu niespodziewanie Jupiter. - Złapią nas prędzej czy później.

Wszyscy wpili w niego wzrok.

- Masz coś na myśli, Jupe! - wykrzyknął Pete, - Jestem pewien. Ale co?

- Te liny - wskazał Jupe - uruchamiają dzwon księcia Paula?

- Dzwon księcia Paula? - Rudi patrzył na niego chmurnie, starając się zrozumieć, do czego zmierza. - Nie, zwykle kościelne dzwony. Dzwon księcia Paula jest w innej dzwonnicy, po drugiej stronie kościoła. Tam jest ten jeden dzwon i uruchamia się go tylko w święta państwowe.

- Wiem - mówił szybko Jupiter - ale książe Djaro powiedział nam, że przed wiekami książe Paul bił w ten dzwon, by zawiadomić swoich zwolenników, że żyje i wzywa ich, i w ten sposób zdławił rebelię.

Wpatrywali się w niego uważnie. Dmitri tarł brodę.

- Tak - powiedział - każdy uczeń to wie. To część naszej historii. Ale co masz na myśli?

- To, że być może, gdy uderzymy w dzwon, ludzie powstaną i przyjdą z odsieczą księciu Djaro! - wykrzyknął Rudi. - Nigdy o tym nie pomyśleliśmy. Była to dla nas tylko stara opowieść o zdarzeniach sprzed wieków.

Rozważaliśmy tylko, jak użyć gazet lub radia, lub telewizji. Ale przypuśćmy, że dziś...

- Dzwon zacznie bić! - wpadła mu w słowa niezwykle ożywiona Elena. - I to po tych wszystkich komunikatach radiowych o mającym nastąpić obwieszczeniu. Ludzie kochają księcia Djaro. Gdyby tylko wiedzieli, że znalazł się w trudnej sytuacji i potrzebuje ich pomocy, ruszyliby tłumnie.

- Ale jeśli... - zaczął Dmitri.

- Nie ma czasu na "jeśli"! - krzyknął Rudi. - Słyszysz, jak wałą w drzwi? Zostały nam sekundy.

- Dobrze - Dmitri nie wahał się dłużej. Gwardziści pędzili pewnie także do głównego wejścia. - Prowadź ich, Rudi. My z Eleną zejdziemy do katakumb. Jeśli pójdą za nami, zyskacie czas. Elena, trzeba zostawić coś, co naprowadzi ich na nasz trop. Daj twój pantofel.

- Zgubię go uciekając, niczym Kopciuszek - powiedziała Elena zdejmując pantofel i zdobyła się nawet na uśmiech. - Idź już, Rudi, spieszcie się!

- Tędy! - zawołał Rudi. - Za mną!

Biegł przez kościół do dzwonnicy po drugiej stronie. Bob, Pete i Jupiter za nim. Elena i Dmitri szli spiesznie ku drzwiom w głębi kościoła, prowadzącym do katakumb.

Bob zaczął kuleć i został w tyle. Z przemęczenia rozboleła go noga, na której do niedawna nosił aparat usztywniający, po fatalnym złamaniu. Ale pozostali zatrzymali się i Bob, kulejąc z każdym krokiem coraz bardziej, dogonił ich. Weszli do pomieszczenia podobnego do tego, które opuścili. Tu również nie było sufitu. Z góry zwieszała się tylko jedna gruba lina, zabezpieczona uchwytem w ścianie. Na górę wiodły podobne schody, obudowane żelazną kratą.

Rudi uwolnił linę z uchwytu i wbiegł na schody.

- Chodźcie! - wołał. - Szybko! Na górę.

Pete wziął Boba pod ramię i tak rozpoczęli szaloną wspinaczkę.

## Rozdział 15

### Dzwon księcia Paula

Bob pokonywał z wysiłkiem strome schody. Rudi spostrzegł, jak mu ciężko. Przystanął i podał mu koniec sznura z koca ze słowami:

- Trzymaj się tego. Pomogę ci.

Teraz, gdy Rudi ciągnął go, ucepionego sznura, Bobowi szło się znacznie łatwiej. Przeszli jedno piętro, drugie. Gwardzistów wciąż jeszcze nie było na ich tropie. U szczytu trzeciego piętra zatarasowała im przejście potężna furta. Pchnęli ją i otworzyła się opornie, ze zgrzytem. Gdy przez nią przeszli, Rudi zasunął gruby żelazny skobel.

- To ich zatrzyma - powiedział. - W dawnych czasach nawet kościół był szturmowany przez wojska. Księża chronili się wówczas na dzwonnicy, zamykając za sobą furty. Są jeszcze dwie.

Zamykali właśnie drugą furkę, gdy na dole do dzwonnicy wtargnęli gwardziści. Dostrzegli uciekinierów i wbiegli za nimi na schody. Ale musieli się zatrzymać przy pierwszej furcie. Potrząsali nią bezskutecznie i wykrzykiwali rozkazy, by przyniesiono narzędzia do cięcia żelaza.

- Nieprędko się przebiją - dyszał Jupiter, gdy spieszenie pędziło w górę. - Ale tak czy inaczej, niewiele mamy czasu.

Byli już powyżej kopuły. Widzieli ulicę w dole i poruszające się na niej miniaturowe figurki ludzi i malutkie samochody. Wszystko tam wyglądało zwyczajnie, lecz tu na dzwonnicy toczyła się walka. Tu był wróg, którego musieli pokonać.

Dotarli wreszcie do otwartej galerii na szczycie dzwonnicy, gdzie na potężnej belce pod spiczastym dachem zawieszony był dzwon księcia Paula. U wejścia na galerię była trzecia furta. Zatrzasnęli ją i zaryglowali. Stado gołębi, wystraszonych hałasem, sfrunęło z balustrady.



Chłopcy stanęli, łapiąc oddech. Na dole gwardziści atakowali pierwszą furtę z hukiem i zamieszaniem, ale bez skutku.

- Zaraz poślą po specjalistę - powiedział Rudi. - Lepiej zaczynamy. Pomyślmy, jak uruchomić ten dzwon. Och, przede wszystkim trzeba wciągnąć na górę linę. Może im przyjść do głowy, żeby ją zamocować na dole.

W podłodze galerii była spora dziura, przez którą przechodziła lina. Rudi stanął pod dzwonem, chwycił linę i zaczął ją ciągnąć. Pete i Jupiter pospieszyli z pomocą i wkrótce leżała na górze w wielkich zwojach, jak włochaty wąż. Gdy lina sunęła w górę, gwardziści na dole podnieśli krzyk, ale spostrzegli się za późno i nie zdołali pochwycić jej dyndającego końca.

Mając linę na górze, chłopcy zabrali się do dokładnych oględzin dzwonu. Miał rozmiary imponujące. Wokół krawędzi biegł łaciński napis. Lina przechodziła przez koło umieszczone na boku dzwonu. Obrót koła powodował rozkołysanie dzwonu, wtedy wewnętrzne ściany uderzały w jego potężne serce. To skonsternowało chłopców. Zetknęli się dotąd tylko z małymi dzwonami, które były przez rozhuśtanie samego serca.

- O rany - powiedział Pete, szacując wzrokiem rozmiary dzwonu - jak nam się uda to uruchomić?

- Stąd, na górze, nie da się tego zrobić zwykłym sposobem - odrzekł Jupiter z namysłem. - Musimy odchylić w bok sam dzwon, a potem będziemy ciągnąć serce tak, żeby w niego uderzało. To powinno się udać.

Wszyscy czterej złapali linę dzwonu. Na sygnał Jupitera zaczęli ciągnąć. Powoli koło obróciło się i ciężki dzwon przechylał się, aż zawisł przekrzywiony tak, że jego serce znalazło się o centymetry od klosza.

Rudi owinął linę wokół jednego z ozdobnych filarów galerii. Zamocował ją dość silnie, by utrzymywała dzwon w tej niezwykłej pozycji. Dokonawszy tego, odpoczęli przez chwilę.

Słońce wyszło zza chmur i przez otwartą galerię dzwonnicy powiało świeżością. Gołębie zataczały koła z trzepotem skrzydeł, przysiadaly na balustradzie i znów odtruwały z głośnym świergotem.

- Która godzina? - zapytał Jupiter.

Rudi spojrzal na zegarek.

- Za dwadzieścia ósma. Dwadzieścia minut do mowy premiera w radiu i telewizji. Musimy się spieszyć.

- Co za szczęście, że wciąż mamy nasz sznur z koca - powiedział Jupiter po namyśle. - Trzeba go zawiązać wokół serca, a potem je rozkołysać.

Zarzucenie pętli sznura na gruszkowate serce dzwonu zajęło im zaledwie minutę. Zaciągnęli ją dobrze i Rudi z Pete'em, jako najsilniejsi, cofnęli się i pociągnęli sznur. Serce zakołysało się i uderzyło w dzwon.

Głęboki, donośny dźwięk niemal ich ogłuszył. Bob wyrzwał w dół. Ludzie na ulicy obracali głowy i patrzyli w górę ze zdziwieniem.

- Uszy nam popękają! - krzyknął Jupiter. - Szkoda, że nie mamy waty, żeby je zatkać! Bob, Pete, macie chusteczki?

Wygrzebali chusteczki z kieszeni i podarli je w małe kwadraty. Każdy kawałek zwinęli w kulkę i wetknęli do uszu. Tak zabezpieczeni zdwoili wysiłki, by bił legendarny dzwon księcia Paula.

Pete i Rudi wykonywali większość zadania. Odciągając w bok serce dzwonu, a potem puszczając, wprawiali je w ruch wahadłowy i uzyskiwali serię głębokich tonów o wiele szybciej, niż gdyby się biło w dzwon normalnym sposobem. Po minucie bicie ustawało, po czym wielki dzwon dźwięczał znowu, tak głośno, że zdawało się, iż słycać go w całym księstwie Waranii. Przez samą nieregularność uderzeń, dzwon zdawał się wołać: "alarm! alarm!"

Nie słyszeli gwardzistów na dole. Mimo zatkanych uszu, ogłuszeni byli biciem dzwonu. Bob przykucnął przy balustradzie i patrzył w dół.

Na ulicy gromadził się tłum. Wciąż przybywało ludzi. Biegli, spoglądając na wieżę dzwonnicy, gdzie wielki dzwon wybijał swe gromkie przesłanie. Czy domyśla się, że książe Djaro jest w niebezpieczeństwie i potrzebuje pomocy?

Jupiter podeszedł do Boba. Wskazał mu coś. W tłumie powstało zamieszanie. Kilku mężczyzn zdawało się krzyżeć, wyciągając ręce w stronę odległego pałacu. Zawrzało w ludzkiej masie, z której niczym potok zaczął się wylewać pochód ku pałacowi.

Gwardziści, dobrze widoczni w swych czerwonych mundurach, starali się wdrzeć w tłum, lecz zostali odepchnięci. Tłum rósł, mimo że mnóstwo ludzi szło w kierunku pałacu.

Wyglądało to tak, jakby zrozumiano przesłanie, odebrano wołanie o pomoc.

Dzwon raptownie przestał bić. Pete i Rudi podeszli, by popatrzeć w dół. Rudi trzymał włączone radio, ale nic nie słyszeli. Nagle przypomnieli sobie o zatyczkach w uszach. Wyciągnęli je. Z radia buchnął piskliwy głos. Rudi tłumaczył:

- To premier. Mówi, że został wykryty groźny spisek przeciw Waranii. Koronacja została odłożona bezterminowo. Książe Stefan przejmuje rządy i sprowadzi przestępców, czyli was, przed sąd. Książe Djaro jest w areszcie domowym. Apeluje się do wszystkich Waranian o utrzymanie prawa i ładu.

- O rany, to brzmi fatalnie! - powiedział Pete. - To brzmi tak jakoś wiarygodnie, chociaż to wszystko kłamstwo.

- Ale nikt tego nie słucha! - krzychał radośnie Rudi. - W całym mieście usłyszano dzwon i wszyscy wyszli na ulice dowiedzieć się, dlaczego bije. Patrzcie, jaki tłum. I cała masa idzie w stronę pałacu. Chciałbym zobaczyć, co tam się dzieje.

- Patrzcie! - krzyknął Jupiter. - Gwardziści rozbili furty. Idą na górę!

Wszyscy rzucili się ku schodom. Gwardziści w szkarłatnych mundurach istotnie biegli w górę. Byli już pod ostatnią furką, u progu galerii dzwonnicy i potrząsali nią groźnie.

- Otwierać w imieniu regenta - krzyknął oficer. - Jesteście aresztowani!

- No to nas aresztuj! - odpowiedział mu Rudi wyzywająco. - Chodź, Pete, póki nie sforsują furty, możemy bić w dzwon.

Chwycili znowu sznur i rozbujali ciężkie serce dzwonu. Ponownie dzwon rozbrzmiał nad miastem, wybijając swe wołanie na alarm, zdając się naglić każdego Warańczyka do czynu. A tuż obok gwardziści wyważali furtę młotem kowalskim i łomami.

Przez pięć minut jeszcze chłopcy bili w dzwon księcia Paula. Potem furta upadła z brzękiem, gwardziści wtargnęli na galerię i ich obezwładnili.

- A teraz - ryknął dowodzący oficer - dostaniecie to, na co zasłużyliście.

## Rozdział 16

### Na tropie pająka

Chłopcy bez oporu dali się sprowadzić w dół. U podnóża schodów gwardziści uformowali ciasny pierścień wokół aresztowanych i wyprowadzili ich bocznym wyjściem z kościoła. Na ulicy wciąż było sporo ludzi, choć tłum nie był już tak liczny. Patrzyli na nich ciekawie i schodzili z ociąganiem z drogi na krzyki gwardzistów.

Chłopców odprowadzono do pobliskiego starego budynku z kamienia. W środku przekazano ich dwóm oficerom w niebieskich mundurach policji.

- Przestępcy polityczni! - rzucił sucho oficer gwardzistów. - Zamknijcie ich w celi, dopóki książę Stefan nie przyśle dalszych rozkazów.

Policjanci zawahali się.

- Dzwon księcia Paula... - zaczął jeden z nich.

- Rozkaz regenta! - uciął gwardzista. - Ruszcie się.

Oficer policji ustąpił. Poprowadził ich wzdłuż korytarza do czterech pustych cel za żelaznymi kratami. Pete i Rudi zostali umieszczeni w jednej, Jupe i Bob w przeciwległej. Drzwi cel zamknęły się ze szczękiem.

- Zapłacisz, jeśli nie będziesz dobrze pilnował! - krzyknął gwardzista, - Wracamy do pałacu zawiadomić regenta.

Zostali sami. Rudi opadł na jedną z dwu pryczy w celi.

- No to mają nas teraz - powiedział ze znużeniem. - Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Ciekaw jestem, co dzieje się w pałacu.

Jupiter usiadł na swojej pryczy.

- Byliśmy na nogach całą noc - mówił. - Jedyne co nam zostało, to odpocząć trochę w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków. Trzeba wiedzieć, że dzwon jako sygnał alarmu...

Reszta zdania utknęła w szerokim ziewnięciu. Jupe potarł oczy. Spojrzał na swych towarzyszy. Bob leżał głęboko uśpiony. Pete i Rudi po drugiej stronie korytarza nie słuchali go również. Spali. Jednakże gdy Jupiter zaczynał coś mówić, lubił skończyć swoją myśl. Mówił więc dalej, mimo że nikt go nie słuchał.

- Dzwon jako sygnał alarmu ma setki lat - mamrotał, padając na wznak na pryczę. - Jest o wiele starszy od radia i telewizji. Gdy Turcy podbili Konstantynopol w 1453 roku, zabronili surowo bicia w dzwony, by zapobiec wezwaniu ludności do rewolty i... i...

Tym razem Jupe skapitulował i nie skończył zdania. Spał głęboko.

Bob stracił grunt pod nogami w ciemnej, bystrej wodzie kanałów Denzo. Niosło go, podrzucało, obijało o ściany, a Jupiter krzyczał do niego z daleka: "Bob! Bob!"

Z wysiłkiem starał się stanąć na nogi. Ktoś chwycił go za ramię. Głos Jupitera dźwięczał mu teraz w samym uchu.

- Bob! Obudź się! Obudź się!

Bob rozespany zamrugał powiekami i ziewnął. Usiadł z wysiłkiem. Jupe, sam trochę zaspany, uśmiechnął się do niego.

- Bob! Mamy gościa. Zobacz, kto to.

Jupe przesunął się i Bob zobaczył roześmianego Berta Younga.

- Dobra robota, Bob! - Bert podszedł i uścisnął mu rękę. - To, co zrobiliście było wspaniałe! Naprawdę bardzo się niepokoiliśmy, gdy przestaliście się z nami kontaktować. Ale, jak widać, daliście sobie sami radę o wiele lepiej, niż można było oczekiwać.

Bob patrzył na niego mrugając oczami.

- Książę Djaro? - zapytał. - Nie jest już w niebezpieczeństwie?

- Miewa się doskonale i zaraz tu przyjdzie - odparł Bert Young. - Księżę Stefan, premier i wszyscy gwardziści na ich usługach zostali aresztowani. Ojca Rudiego właśnie zwolniono z więzienia i został ponownie mianowany premierem. Ale jestem pewien, że chcecie wiedzieć, co zaszło po waszym szaleńczym biciu w dzwon.

Chcieli, oczywiście. Rudi i Pete weszli do ich celi, a policjanci stali obok z uśmiechem. Oficer gwardzistów znikł bez śladu.

Bert Young opowiedział im o zajściach, jak mógł najkrócej. Tegoż rana - teraz było popołudnie - udał się wraz z ambasadorem Stanów Zjednoczonych do pałacu, by dowiedzieć się, co stało się z Pete'em, Jupiterem i Bobem. Bramy były zamknięte i gwardzista pałacowy odmówił im wstępu.

Wciąż spierali się z gwardzistą, gdy rozległo się złowieszcze bicie dzwonu księcia Paula. Na pierwsze uderzenia wszyscy oniemieli, zaskoczeni. Potem, gdy dzwon bił nadal, pod bramami pałacu zaczęli gromadzić się ludzie.

Tłum rósł i rósł i wkrótce plac przed pałacem był już zatłoczony. Zgromadzeni zaczęli wołać księcia Djaro. Gwardziści usiłowali rozprężyć tłum, ale byli bezsilni. Wtem ktoś wspiął się na słup przy bramie i zaczął krzyczeć do tłumu, że księżę Djaro musi być w niebezpieczeństwie, że bicie dzwonu nie może oznaczać nic innego i że trzeba księcia ratować.

- Wtedy ja wkroczyłem do akcji - mówił z uśmiechem Bert Young. - Znam trochę warański, wykrzykiwałem więc: "Ratujcie księcia Djaro! Precz z księciem Stefanem!" i tym podobne. Tłum był już teraz mocno wzburzony. Ruszył na bramy i wyłamał je z wielkim trzaskiem. Włał się do środka, a ja wraz z nim. Zgadałem się z człowiekiem, który pierwszy przemówił do tłumu. Powiedział mi, że jest Bardem. Na czele tłumu wtargnęliśmy do pałacu. Gwardziści zostali zmieceni jak zapalki. Mój towarzysz Lonzo...

- To mój brat! - wykrzyknął Rudi z dumą. - Więc także uciekł!

- Tak. Lonzo znał drogę do apartamentów księcia Djaro. Podprowadziliśmy tam ludzi, a gwardziści zobaczywszy, co się święci, szybko przeszli na naszą stronę. Większość z nich nie robiła nam już trudności. Uwolniliśmy Djaro, a on zapanował nad sytuacją, jak na księcia

przystało. Rozkazał gwardzistom zaarrestować księcia Stefana i premiera. Te lotry starały się ukryć, ale ich schwytano.

Trochę czasu zabrało wyłuskanie wszystkich nielojalnych gwardzistów, ale pomogli ci, którzy potajemnie byli zawsze oddani księciu Djaro. Księżę Djaro osobiście pilnuje, by wszyscy spiskowcy zostali aresztowani, i jak tylko się z tym upora, przyjdzie tutaj. Przy okazji, chcę wam powiedzieć, że wszystko wskazuje na to, że zderzenie z samochodem księcia, do którego o mało nie doszło w Kalifornii, nie było przypadkiem. Było częścią planów pozbycia się księcia Djaro.

Tu przerwały mu okrzyki wznoszone na korytarzu:

- Księżę! Niech żyje księżę!

Niebawem pojawił się sam Djaro. Twarz miał bladą, lecz oczy radosne. Stłoczyli się ciasno jeden przy drugim, by zrobić mu miejsce, gdy wszedł do celi.

- Moi amerykańscy przyjaciele! - wykrzyknął i uściskał ich. - To jest wasz dzień. Cóż za natchniony pomysł bić w dzwon księcia Paula! Jak na to wpadliście?

- To Jupiter wpadł na ten pomysł - odezwał się Rudi. - My tak uporczywie chcieliśmy zaapelować do społeczeństwa przez radio, telewizję lub prasę, że nawet nie pomyśleliśmy o dzwonie.

- Mówiłeś nam - podjął Jupiter - że twój przodek, księżę Paul, dzwonem wezwał pomoc podczas rewolucji 1675 roku. Od tego czasu dzwonu używano tylko na odświętne okazje. Pomyślałem, że nadszedł moment, by użyć go ponownie - na trwogę. Jakby nie było, dzwony są o wiele starsze od radia i telewizji, a także gazet. Zawsze bito w nie, by zebrać ludzi, by zawiadomić o pożarze, by ostrzec przed niebezpieczeństwem i tak dalej. Przeto...

Znowu nie dane mu było skończyć. Księżę Djaro roześmiał się radośnie i klepnął go w plecy.

- Postąpiłeś wspaniale! - zawołał. - Sam księżę Paul byłby z ciebie dumny. Księżę Stefan jest w więzieniu pod strażą, a spisek, który, jak się dowiedziałem, był o wiele groźniejszy, niż sądziłem, został unicestwiony. Rozkazałem bić w dzwon księcia Paula aż do



zmierzchu na chwałę zwycięstwa. Wszystko więc układa się dobrze, mimo że wciąż nie odnaleziono srebrnego pająka.

- Dzwon bije na zwycięstwo - wyszeptał Jupiter i oniemiał na moment. Wreszcie doszedł do siebie i rzekł: - Książę Djaro, myślę, że drogą dedukcji doszedłem, gdzie znajduje się srebrny pająk. Lecz by go odnaleźć, musimy się udać do pałacu.

Piętnaście minut później jechali samochodem księcia Djaro przez zatłoczone wiwatującym tłumem ulice. Djaro kłaniał się i machał ręką do wiwatujących z sunącego wolno samochodu. Przybyli na koniec do pałacu i znaleźli się wreszcie przed pokojem, który był sypialnią Trzech Detektywów. Pete, Bob, Jupiter i książę Djaro weszli do środka.

- A teraz sprawdzimy moją dedukcję - powiedział Jupiter. - Jestem niemal pewien jej słuszności, ponieważ przeszukaliśmy już wszystkie inne możliwe miejsca. Pozostało tylko jedno, gdzie może znajdować się pająk. Mogę się mylić, ale...

- Mniej gadania, więcej działania! - zniecierpliwił się Pete. - Nie czas teraz na wygłaszanie przemówień. Pokaż nam!

- Dobrze - Jupiter poszedł w róg pokoju. Opuścił się na czworaki i podsunął się na kolanach do wielkiej pajęczyny, wciąż rozpiętej między łóżkiem a ścianą. Wielki czarno-złoty pająk czmychnął przed nim i znikł w szczelinie między podłogą a boazerią. Drugi czarno-złoty pająk patrzył na Jupitera ze szczeliny swymi oczkami jak koraliki.

Jupiter ostrożnie wyciągnął rękę i zrywając tylko kilka nitek, wsunął ją pod pajęczynę. Obserwujący oczekiwali, że i drugi pająk czmychnie, lecz ten pozostał na miejscu. Jupiter nacisnął go koniuszkiem palca, wysunął ze szczeliny, po czym wyciągnął go spod pajęczyny.

- Spójrz! - powiedział, wstając i podchodząc z otwartą dłonią do Djaro.

- Srebrny pająk Waranii! - wykrzyknął książę Djaro. Wziął pająka z ręki Jupe'a. -  
.Znalazłeś go!

- Wydedukowałem w końcu, gdzie był - odparł Jupiter. - Widzisz, w momencie gdy gwardziści wyważali drzwi, a Rudi naglił nas do ucieczki, Bob wpadł na genialny pomysł.

- Naprawdę? - odezwał się Bob z powątpiewaniem. Żałował, że nie może sobie tego przypomnieć.

- Tak. Tyle że zapomniałeś o tym zupełnie, gdy rozbiłeś sobie głowę o balkon. Musiałeś pomyśleć, że jedyne miejsce, gdzie nikt nie będzie spodziewał się znaleźć sztucznego pająka, jest w pobliżu prawdziwej pajęczyny. Wsunąłeś więc srebrnego pająka do szczeliny za pajęczyną. Widzieliśmy go, przeszukując pokój, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, na co patrzymy. Powinienem jednakże pamiętać, że dwa pająki nie budują jednej pajęczyny.

- Brojas, Bob! Doskonale! - Djaro klepał Boba po plecach. - Wiedziałem, że mogę na was liczyć, moi amerykańscy przyjaciele!

- Dopiero kiedy ty, książę - kontynuował Jupiter - powiedziałeś o dzwonie bijącym na zwycięstwo, uprzytomniłem to sobie. Zeszłego wieczoru stary Anton, król Cyganów, wyrzekł dziwne słowa. Powiedział księciu Stefanowi, że słyszy dzwon bijący na zwycięstwo i że pająk, choć sztuczny, jest tylko pająkiem.

Nie umiem odgadnąć, jakimi siłami włada stary Anton, ale wiedział on więcej, niż powiedział księciu Stefanowi. Dzwon bije na zwycięstwo i jak się okazało, bije dla ciebie. Zdałem więc sobie sprawę, że jeśli pająk to tylko pająk, winniśmy go szukać tam, gdzie można znaleźć zwykłego pająka, to jest w pobliżu pajęczyny.

Była to długa mowa, ale tym razem nikt Jupiterowi nie przerywał. Wziął więc głęboki oddech i rzekł na zakończenie:

- Jak więc widzisz, nie zasługuję na wielkie uznanie. W istocie...

- Zasługujesz na całe uznanie, jakim tylko mogę cię obdarzyć! - wykrzyknął zachwycony Djaro. Zawinął pieczołowicie srebrnego pająka Waranii w chusteczkę i schował do kieszeni. - Nie sposób w pełni wyrazić mego uznania, lecz zrobię co w mojej mocy, i to tu, teraz.

Wyjął z drugiej kieszeni trzy pięknie rzeźbione w srebrze pająki, zawieszzone na srebrnych łańcuszkach.

- Stańcie, proszę, jeden koło drugiego - powiedział i gdy Trzej Detektywi ustawili się w szeregu, zawiesił na piersi każdego z nich srebrnego pająka.

- Jesteście teraz kawalerami Orderu Srebrnego Pająka. Jest to najwyższe odznaczenie, jakie jestem w mocy przyznać. Nadawane jest tylko osobom, które dokonały czegoś wyjątkowego dla Waranii. Ponieważ przysługuje jedynie Waranianom, ogłaszam was niniejszym honorowymi obywatelami mego kraju. A teraz powiedzcie, co jeszcze mogę uczynić, by okazać wam wdzięczność? Proście o wszystko, zrobię, co tylko w mojej mocy.

- Więc... zaczął Jupe, ale Pete szybciej wyraził życzenie wszystkich trzech.

- Czy możemy dostać coś do jedzenia? - zapytał.

## **Na zakończenie kilka słów od Alfreda Hitchcocka**

Niewiele można dodać do historii Trzech Detektywów i srebrnego pająka Waranii. Księżę Djaro został koronowany z entuzjastyczną aprobatą Waranian. Nie czekając na planowane wspaniałe ceremonie, bez zwłoki wziął władzę w swe ręce. Księżę Stefan i jego współspiskowcy zostali uwięzieni, a cudzoziemców, planujących obrócić Waranii w raj dla przestępców, schwytano w czasie ucieczki i ukarano surowymi wyrokami.

Przez wzgląd na politykę międzynarodową, udział naszych trzech chłopców w rozbiciu złowieszczego spisku nie został ujawniony. Jupiter, Pete i Bob uczestniczyli w koronacji, po czym ruszyli w drogę powrotną do domu. Zabrali ze sobą gorące podziękowania księcia Djaro i jego zaproszenie na dłuższy pobyt. Mają nadzieję, że kiedyś z tego zaproszenia skorzystają.

Niestety, nie zezwolono im na zatrzymanie specjalnych aparatów fotograficznych. Byli jednak dostatecznie uszczęśliwieni przywożąc do domu odznaczenia nadane im przez księcia Djaro - Ordery Srebrnego Pajaka. Odtąd całkowicie zmienił się ich stosunek do pajaków, których większość to ciężko pracujące małe stworzenia, bardzo pomocne w tępieniu owadów.

Obecnie, Trzej Detektywi przeglądają pilnie swą korespondencję, w oczekiwaniu na list, który zawiódłby ich na tropy nowej, ciekawej zagadki. Jestem pewien, że napotkają ją niebawem, choć zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, jakie z kolei czekają ich przygody. Jedno wiem na pewno - będą pełne emocji!